



**BRAMY POWIATU**





# BRAMY POWIATU

KWARTALNIK NR 1 (12)

CIECHANÓW 2022



**Grażyna Czerwińska** – absolwentka etnografii na UW, pracownik Wydziału Promocji i Polityki Społecznej w Starostwie Powiatowym w Ciechanowie.

**Dr Tomasz Czerwiński** – etnograf, Szkoła Główna Turystyki i Hotelarstwa Vistula w Warszawie.



**Ewa Gładysz** – koordynator Powiatowego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Ciechanowie.

**Katarzyna Wiśniewska** – Portal internetowy: Glinojek.info.



**Ks. prałat dr Ireneusz Wrześniński** – wieloletni proboszcz i dziekan ciechanowskiej fary, studiował teologię dogmatyczną na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, doktorat uzyskał w Akademii Teologii Katolickiej.

**Kazimierz Zblewski** – mieszkaniec Torunia, w 1945 roku podczas deportacji do ZSRR więziony w obozie przejściowym NKWD w Ciechanowie.



**Wydawca:**

Starostwo Powiatowe w Ciechanowie  
ul. 17 Stycznia 7, 06-400 Ciechanów  
www.ciechanow.powiat.pl  
ISSN 2657-7615

**Skład i druk:**

Drukarz Sp.j.  
ul. Towarowa 2, 06-400 Ciechanów  
tel.: 23 672 71 12; www.drukarz.net.pl

## SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI.....	5
<i>Grażyna Czerwińska</i> Z KART HISTORII.....	6
<i>Ks. prałat dr Ireneusz Wrzesiński</i> KMENTARZ GRZEBALNY PRZY CIECHANOWSKIEJ FARZE.....	8
<i>Grażyna Czerwińska</i> O SZPITALU, KTÓRY NIE POWSTAŁ.....	13
<i>Ewa Gładysz</i> CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ... HISTORIA MAŁEGO ZALA W DWUNASTU FOTOGRAFIACH Z KOMENTARZEM.....	18
<i>Kazimierz Zblewski</i> MOJE WSPOMNIENIA Z DEPORTACJI W 1945 ROKU DO ZSRR.....	25
<i>Katarzyna Wiśniewska</i> RODZINA PIECHOWSKICH.....	31
<i>Tomasz Czerwiński</i> Z ETNOGRAFICZNEJ TEKI O WIELKIM POŚCIE I KATOLIKU W ŚMIETANIE.....	37







## OD REDAKCJI

*Czas jest wszystkim, ale też płynie nieubłaganie...*

*Za nami niezwykle trudne dwa lata, przed nami kolejne wyzwania i kolejny sprawdzian z człowieczeństwa, solidarności, ale też docenienia tych najprostszych codziennych rzeczy i zwracania uwagi, a może ponownego zauważenia tego, co tak naprawdę ważne...*

*Otwieramy dla Państwa kolejny numer „Bram Powiatu”... Bram otwartych także dla szukających schronienia i uciekających przed wojną...*

*Naszą kruchą rzeczywistość niezwykle trafnie opisują słowa wiersza Stanisława Barańczaka pt. „Jeśli porcelana to wyłącznie taka”: Kto ci powiedział, że wolno się przyzwyczajać? Kto ci powiedział, że cokolwiek jest na zawsze?*

*Nauczmy się cenić każdą dobrą chwilę, każdy uśmiech, promień słońca i miły gest drugiego człowieka... Niech lektura tego numeru kwartalnika przyniesie Państwu chwile wspomnień i refleksji, niech będzie czasem spokoju i odpoczynku.*

*Wspomnienia bywają radosne i niestety tragiczne, więc i my prezentujemy Państwu dużą różnorodność tematów... Mieszkaniec Torunia ma w pamięci okrutne, nieludzkie dni pobytu w zlokalizowanym w Ciechanowie obozie przejściowym NKWD.*

*Przypominamy związane z naszą ziemią zasłużone postaci z minionych wieków - przedstawiciele ziemiańskiej rodziny Piechowskich oraz filantropa Tomasza Majewskiego...*

*Do krainy lat szczęśliwych, do czasów swojego beztróskiego dzieciństwa przenosi nas z humorem znakomity Ciechanowianin, Profesor Janusz Zalewski.*

*Kiedy śledzimy historię cmentarzy w Ciechanowie, myśli kierują się do spraw ostatecznych, a ponieważ mamy teraz czas Wielkiego Postu - przypominamy mazowieckie i ciechanowskie zwyczaje z tym związane....*

*Cóż mogę Państwu życzyć - zdrowia i pokoju oczywiście z lekturą naszych Bram....*

Starosta Ciechanowski



# Z kart historii



Dworzec w Ciechanowie, początek XX wieku.  
Ze zbiorów Grzegorza Domańskiego.

Korespondent Płocki donosił:

We wsi Sulerzyżu w powiecie Ciechanowskim – w której to wsi miejscowa tradycja utrzymuje, że kiedyś sól wydobywano i doły wśród lasów, jakoby po kopalni soli powstałe, do dziś pokazują; znajduje się także miejsce żalami zwane, mające pozór przedchrześcijańskich cmentarzysk. Miejscowy dzierżawca tej wsi W-ny Młodzianowski zgadza się na rozkopanie tej miejscowości, skoro więc wiosna rozgrzeje ziemię, piszący te słowa nie omieszka korzystać z pozwolenia i o rezultacie poszukiwań Redakcję zawiadomi. (1878)

× × ×

Szkoła elementarna ciechanowska, męska i żeńska, zyskała powiększenie etatu z rs 772 na rs 808 rocznie. Nadto zwierzchność okręgu naukowego warszawskiego wyasygnowała do rozporządzenia naczelnika dyrekcji naukowej płockiej sumę rs 2 974 kop. 61 jako wsparcie na utrzymanie szkół elementarnych guberni płockiej w rb. Ze wsparcia tego korzysta 20 szkół elementarnych. (1878)

× × ×

W dominium Klice w pow. Ciechanowskim gm. Regimin odległość od stacji Konopki wiorst trzy, jest do sprzedania całe stado owiec około sześciuset zarodowych *Negretti*, tamże 30 tryków drugoletnich z wolnej ręki; wiadomość na miejscu. (1878)

× × ×

W wigilię nowego-roku proboszczowi parafii Lekowo, we wsi Regiminie stale mieszkającemu ks. kanonikowi Waśniewskiemu, niejaki Chorzeński Feliks wyrobnik z Regimina skradł z kurnika cztery indyki, lecz wysledzony przez policję miejscową, zaraz po spełnieniu kradzieży wraz ze swą współniczką Maryanną Górską wdową, na gorącym uczynku przy ucinaniu głów podduszonym indykom i oskubywaniu z pierza aresztowany, oczekiwał na wymiar sprawiedliwości nie długo. Skazany został przez sąd gminny I-go Okręgu na 9 miesięcy więzy, a współniczka jego Górską na miesiące sześć.

Na dwa tygodnie przedtem dzierżawcy po-proboszczowskiego folwarku Regimin Koza-rzewskiemu skradziono parę koni z uprzężą i sankami oraz ubranie furmana.

Są to fakta, które mamy w świeżej pamięci i które spełniono tylko w obrębie gminy Regimin i w części gm. Nużewo, pomijając dawniejsze, których uzbierałaby się dosyć pokaźna cyfra. Oby tylko koniec temu było wraz z końcem starego roku. Daj Boże, aby rok bieżący mniej był obfity w kradzieże i rozboje. (1879)

× × ×

Wyżeł zaginał, rasy krajowej maści kasztanowo – graniastej, sierść gładka, ogon długi, u zadnich łap rysie pazury, lat cztery. Wiadomość o znalezieniu proszę nadesłać do: kassyera fabryki cukru w Glinowiecku. (1879)



W dniu 8 czerwca r. b. we wsi Grzybowo w pow. ciechanowskim w domu zięcia swego Adama Drewnowskiego zasnęła w Bogu w wieku lat 74 śp. Urszula z Gadomskich Kanigowska, wdowa po niegdy Franciszku Kanigowskim, właścicielu dóbr Sulerzyż z przyległościami, w dniu 31 sierpnia 1824 r. zmarłym. Nieboszczka była niewiastą bogobojną i pełną cnót chrześcijańskich. Pokój jej duszy! (1879)



We wsi Koźniewo Łysaki w pow. ciechanowskim, w czasie następnego skutkiem podpalenia pożaru, spalił się wiatrak, ubezpieczony na 217 rubli. (1880)



W dniu 8 (20) marca 1880 r. umarł ks. Ksawery Nałęcz, kanonik honorowy i proboszcz parafii pałuckiej w pow. ciechanowskim położonej, mający lat życia 66, kapłaństwa 40. (1880)



W grudniu 1880 były burmistrz Ciechanowa Jan Cichowicz mianowany kasjerem kasy m. Rypina. (1880)



Folwark Grzybowo pół mili od stacji kolei Nadwiślańskiej Ciechanów położony, włók 18 <sup>4</sup>/<sub>5</sub> rozległy, w ziemi pszennej z łąką nadrzeczną, w której mogłaby być plantacja buraków cukrowych rozwiniętą, sprzedaje się z wolnej ręki po cenie rs 3 750 za włókę bez targu i pośrednictwa, a to wraz z wszelkim inwentarzem. Bliższa wiadomość u właściciela na gruncie. (1880)



W Ciechanowie odbędzie się w tym czasie wieczór tańczący składkowy, na korzyść organizującej się tam straży ogniowej ochotniczej. Słyszeliśmy, że cała okolica w tej zabawie, w tak użytecznym połączonej celem, zamierza wziąć udział. (1882)



Z powodu edukacji dzieci, a zatem konieczności wyprowadzenia się do większego miasta, jest do sprzedania SKLEP w mieście CIECHANOWIE guberni płockiej, 4 godziny jazdy koleją do Warszawy, składający się z towarów: kolonialnych, galanteryjnych, Magazynu Mód i czytelni. Bliżej informować się można w mieszkaniu pp. Gaczyńskich, ulica Dominikańska dom Brochockich nr 3. (1882)



Z Ciechanowa piszą do nas: w mieście tujejszem w dniu 1 bieżącego Sierpnia odbył się obrzęd odprowadzenia zwłok śp. Józefa Gomolickiego, naczelnika powiatu Ciechanowskiego, na stację drogi żelaznej Nadwiślańskiej dla przewiezienia takowych na cmentarz Wolski w Warszawie.

Najwymowniejszym dowodem zasług nieboszczyka był kilkotysięczny tłum ludzi, wszystkich tu będących wyznań i wszystkich warstw społeczeństwa, towarzyszący temu obrzędowi na przestrzeni dwuwiorstowej z mieszkania do samej stacji. Koledzy, podwładni i przyjaciele zmarłego na barkach swoich odnieśli szanowne jego zwłoki, składając mu w upominku dwa okazałe metalowe wieńce, jeden od kolegów i podwładnych, drugi od przyjaciół ziemian.

Nazajutrz rannym pociągiem, wraz z osieroconą rodziną zmarłego, grono osób co ich bliższe z nieboszczykiem łączyły stosunki, udało się do Warszawy na ostatnio akt pochowania zwłok na cmentarzu Wolskim. (1882)

Wybrała Grażyna Czerwińska



# CMENTARZ GRZEBALNY PRZY CIECHANOWSKIEJ FARZE



W zapisie wizytacyjnym biskupa plockiego z r. 1779 czytamy: *cmentarz jest częścią oparkaniony dylami, częścią też po kawale brakuje parkanu i bydło, kiedy chce chodzić może po cmentarzu osobliwie, że bramek u cmentarza nie masz. Na cmentarzu żadne kupiectwa, ani jarmarki nie bywają oprócz, kiedy sejmiki trafiają się, to nie tylko na cmentarzu, ale i w kościele różne rozbytki, poswary i tumulty czynią.*<sup>1</sup> Relacja powyższa dotyczy dawnego cmentarza grzebalnego, otaczającego kościół farny.

Wraz z kościołem parafialnym powstawał cmentarz przykościelny, który przez wieki był jednocześnie miejscem grzebania zmarłych. Budynki kościelne ulegały różnym przekształceniom, zniszczeniom, powstawały nowe budowle,

<sup>1</sup> Ks. Michał M. Grzybowski, *Ciechanów. Szkic dziejów parafii*, Płock 1988, s. 46.

jednak teren przykościelny przez cały czas pozostał terenem grzebania zmarłych i miejscem ich wiecznego spoczynku. Tak było przy każdym kościele. Sprawa była niegdyś o tyle łatwiejsza i prostsza, że zmarłych chowano wprost do ziemi, nie budując żadnych grobowców czy pieczar. Trwałość takich mogił była znacznie krótsza i po kilkudziesięciu latach znów na tym samym miejscu można było kopać nowe groby. W wypadku, gdy przy kopaniu grobu natrafiono na kości, wyjmowano je i składano do tzw. kostnicy (ossorium), która była na każdym cmentarzu. Co kilka czy kilkanaście lat opróżniano kostnicę z nagromadzonych kości, grzebiąc je w jednym grobie - wyrażając w ten sposób szacunek dla tych, których prochy w tym miejscu spoczywały. Tylko nieliczni, zamożniejsi parafianie mogli postawić na grobie



jakiś pomnik, większość mogił znaczyły jedynie drewniane krzyże, może też kwiaty, które składano przy ich odwiedzaniu w związku z przyjściem na niedzielne nabożeństwo.<sup>2</sup>

Nie można dziś ustalić dokładnej daty powstania ciechanowskiego cmentarza przykościelnego, ale wydaje się słusznym domniemanie, że zaistniał on równocześnie z powstaniem pierwszej świątyni na górze farskiej, a ta zaistniała prawdopodobnie już w połowie wieku XI w. Była to kamienna rotunda, na której fragmenty natrafiono w 1921 roku podczas wykopów pod budowę nowej zakrystii przy obecnej farze, odnajdując tam monety z czasów Bolesława Chrobrego. O istnieniu tej preromańskiej świątyni wspominał dokument księcia mazowieckiego Bolesława II z 1295 roku, potwierdzający uposażenie kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Piotra w Ciechanowie.<sup>3</sup> Tam zapewne, w tym miejscu bądź obok rotundy stał inny kościół, zapewne drewniany, fundowany przez książąt mazowieckich, który spłonął podczas pożaru starego miasta w roku 1476. Na miejscu spalonego kościoła na górze farskiej w końcu XV wieku rozpoczęto budowę dzisiejszej fary, którą ukończono w 1525 roku. Wokół tych świątyń grzebano zmarłych. Przemawia za tym powszechny w średniowieczu zwyczaj urządzania cmentarzy przy kościołach i kaplicach.

Dla potwierdzenia tej ostatniej hipotezy przytacza się fragmenty ze źródeł pisanych powstałych w dobie chrystianizacji różnych części Europy Środkowej w okresie od końca VIII wieku do 2 połowy XII wieku, w których pojawiają się nakazy lub zalecenia grzebania zmarłych na przykościelnych cmentarzach. Pierwszym z nich jest zapis z kapitularda Karola Wielkiego dla podbitych Sasów wskazujący, że ciała chrześcijan winny być chowane



na cmentarzach kościelnych, a nie w grobach pogańskich. We fragmencie powstałych kilka stuleci później tzw. dekretów czeskiego władcy Brzetysława I pogańskiemu zwyczajowi grzebaniu zmarłych na pustkowiach i w lasach przeciwstawione jest zalecenie chowania w grobach chrześcijańskich, które także rozumiane są zazwyczaj przez dzisiejszych badaczy jako cmentarze przykościelne. Omawianemu tu zagadnieniu miejsc grzebania zmarłych w kulturze średniowiecza poświęcone zostało studium prof. Mariana Rębkowskiego pt. „Cmentarz w chrześcijańskiej przestrzeni średniowiecza”.<sup>4</sup>

Autor w swoim studium opiera się na najbardziej kompletnym z powstałych w średniowieczu dzieł, mających na celu zestawienie i wytłumaczenie wszystkich obrzędów związanych ze sprawowaniem chrześcijańskiego kultu. Za takowe uznać wolno ośmiotomowe

<sup>2</sup> Tamże.

<sup>3</sup> Ks. Grzybowski, dz.cyt. s. 5.

<sup>4</sup> Marian Rębkowski, *Cmentarz w chrześcijańskiej przestrzeni średniowiecza*, [w:] *Acta Archeologica Lodziensia* nr. 60, s. 191-196.





Kartusz z herbami Wincentego Krasieńskiego  
na ścianie południowej

kompendium liturgiki zatytułowane „Rationale divinatorum officiorum”, napisane przez Wilhelma Duranda z Mende. Dzieło powstało co prawda dopiero w końcu XIII w., ale jego autor czerpał i kompilował wiedzę z szeregu starszych komentarzy liturgicznych, co pozwala odnieść zawarte w nim dane również do czasów nieco wcześniejszych. Według Wilhelma Duranda biskupa Mende w Langwedocji (Francja) we wnętrzu kościoła wolno chować jedynie zasłużonych świeckich, biskupów i opatów, wszyscy pozostali winni być natomiast grzebani w różnych miejscach zlokalizowanych tuż obok świątyni, w tym także w przestrzeni nazywanej „cimiterium”.

Autor zaznacza, że zwyczaj chowania zmarłych chrześcijan przy kościołach pojawił się już w IV w. jako konsekwencja rozkwitającego wówczas kultu męczenników, których relikwie umiejscawiano właśnie w świątyniach. Religijna potrzeba wejścia także po śmierci w możliwie bliski kontakt ze świętym skutkowałą m.in. tendencją do umieszczania grobów jak najbliżej

miejsca spoczynku szczątków męczennika – „ad sanctos”, czyli w kościele i tuż przy jego murach. W efekcie pojedyncze groby i całe cmentarze pojawiły się w miastach, w centrach obszarów zamieszkałych, co stanowiło całkowite przeciwieństwo nie tylko prawnych nakazów świata rzymskiego, ale przede wszystkim zwyczajów pogańskich.

Wydzielenie cmentarza, podobnie jak innych miejsc świętych, odbywało się za pomocą sprawowanego przez biskupa rytu konsekracji, a znieważenie cmentarza wymagało rekoncylacji, czyli powtórnego poświęcenia, podobnie jak w przypadku kościoła.<sup>5</sup> Te ustalenia dotyczące czasów średniowiecza w Europie miały zapewne swój odpowiednik również na mazowieckiej ziemi. Wokół farnego kościoła grzebano zmarłych, a uprzywilejowani byli chowani wewnątrz kościoła. Od XV w. mieszczanie ciechanowscy otrzymywali od księcia przywileje, na mocy których mogli chować ciała swoich zmarłych w obrębie kościoła. Przywileje takie zazwyczaj dotyczyły cechów, które zobowiązywały się do ponoszenia kosztów związanych z remontami świątyni. Oprócz mieszczan, w grobowcach kościelnych zwanych często sklepami chowani byli kolatorzy, fundatorzy i inni dobrodzieje kościoła. Było to wyróżnienie, o które zabiegano, czyniąc odpowiednie zapisy i fundacje. Protokoły wizyt z różnych lat wspominają o tych miejscach pochówku, np. wizytator w 1740 roku zapisał, że *sklep osobowy w kościele dobry, murowany, lecz bardzo mały*, zaś w 1756 roku wyliczył 4 grobowce w kościele, należące do rodzin Kuklińskich, Śmiecińskich, Kargowskich i Niestojewskich. Zamożniejsza szlachta starała się także pozostawić na miejscu pochówku materialny ślad w postaci pomnika czy epitafium. Najstarszym zachowanym pomnikiem

<sup>5</sup> Marian Rębkowski, *Cmentarz w chrześcijańskiej przestrzeni średniowiecza*, s. 192-193. Por. też: Elżbieta Dąbrowska, *W Kościele czy poza kościołem-Lokalizacja pochówków w Polsce piastowskiej*. [w:] *Acta Archeologica Lodziana*, nr. 60.



w ciechanowskiej farze jest późnogotycka płyta nagrobna Stanisława Szczurzyńskiego, dziedzica Szczurzynka (zmarł w 1556 r.), wmurowana w filar nawy kościoła. Przedstawia ona postać rycerza w zbroi z napisem antykwą w bordiurze i kartuszami w narożach, z herbami: Ostoja, Pobóg, Lubicz i Prawdzic.<sup>6</sup>

Stan cmentarza przykościelnego w 1782 roku był już lepszy niż ten wzmiankowany przed stu laty. Wizytator wyraził to słowami: *cmentarz świeżo zrównany wkoło kościoła, także oparkaniony. Kośnica do ściany kościelnej w kącie przymurowana*. Sytuacja pogorszyła się na początku XIX wieku, kiedy zamknięto kościół fany ze względu na zamierzony remont, nie przestano jednak grzebać zmarłych na cmentarzu. Fakt zajęcia kościoła przez wojska francuskie i uczynienie z niego składu mąki oraz piekarni pogorszył jeszcze sytuację, bowiem nieustannie zajeżdżały przed kościół furgony wojskowe. Opis wizyty w 1817 roku przedstawia to następująco: *Cmentarz naokoło kościoła długości łokci 108, a szerokości 84 trzymający, był parkanem obwiedziony, lecz i ten przez wojsko francuskie zupełnie rozebrany i spalony. Na cmentarzu jest krzyż drewniany i kośnica przy murze kościoła murem obwiedziona, w stanie dobrym znajduje się. A ponieważ że w tym kościele od czasów wkroczenia wojsk francuskich w 1807 roku aż dotąd magazyn wojskowy był składany, gdzie zajazd ze wszystkich stron kościoła był publiczny, a zatem i cmentarz, chociaż na nim i ciała zmarłych chowają się dotąd, oparkaniony nie jest i rząd za tak wielki skład magazynów przez lat dziewięć utrzymywany żadnej nagrody nie uczynił, chociaż wszystkie inne składy w całym kraju oplacał*.

Chociaż w latach dwudziestych sytuacja się ustabilizowała, sprawa osobnego cmentarza nie była załatwiona. Wiadomo, że zarówno zaborcze władze pruskie, a potem napoleońskie starały się



zmusić mieszkańców, aby cmentarze grzebalne przenosić poza osiedla mieszkalne i urządzać je - jak mówiono - „w polu”. W Ciechanowie sprawa ta przeciągała się wyjątkowo długo. Protokoły wizyt z lat dwudziestych sygnalizowały jeszcze istnienie cmentarza grzebalnego przy kościele; w 1821 roku stwierdzono, że *cmentarza brakuje, ale ten po ukończonej reparacji kościoła będzie wystawiony nowy. Na chowanie ciał zmarłych miejsca osobnego nie masz*. Jeszcze w 1825 roku wizytator stwierdził, że *prócz cmentarza przy kościele miejsca osobnego nie masz*.<sup>7</sup>

Po raz pierwszy wiadomość o wyznaczeniu nowego miejsca na chowanie zmarłych poza cmentarzem przykościelnym pojawiła się w 1828 roku, kiedy to wizytator zapisał, że *jest miejsce osobne do chowania ciał zmarłych*. Upłynęło jednak jeszcze kilka lat, zanim doszło do realizacji tego zamierzenia w pełni. Dopiero za czasów proboszcza ks. Józefa Kwiatkowskiego, w 1849 roku przestano grzebać zmarłych przy

<sup>6</sup> Ks. Grzybowski, dz. cyt. s. 38, 41.

<sup>7</sup> Tamże, s. 49.





kościół, a urządzono cmentarz poza miastem, na gruntach plebańskich przy szosie płońskiej, chociaż jeszcze wyjątkowo w późniejszych latach udostępniano miejsce przy farze na pochówki zmarłych, jak o tym świadczy zamieszczona fotografia nagrobka z roku 1861 znajdującego się do czasów obecnych przy farze od strony południowej.

Zakładanie cmentarza grzebalnego w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła w Ciechanowie dotyczyło nie tylko fary ciechanowskiej, bowiem przy trzech innych świątyniach wzmiankowanych w źródłach historycznych również grzebano zmarłych. Tak było przy kościele św. Małgorzaty, zlokalizowanym w pobliżu mostu nad Łydynią przy ulicy 17 Stycznia od strony południowej; przy kościele św. Ducha zlokalizowanym przy zbiegu ulicy Warszawskiej i Nadfosnej oraz przy kościele św. Piotra, położonym prawdopodobnie przy zbiegu ulic Augustiańskiej i Orylskiej, który po pożarze świątyni na górze farskiej w 1476 roku przez pewien czas (do ukończenia budowy obecnej fary) pełnił funkcję kościoła parafialnego.

Wymienione kościoły zostały rozebrane przed końcem XVIII wieku, ale już długo przedtem przestały funkcjonować, przeto i sąsiadujące z nimi cmentarzyki przestały pełnić swoje funkcje pogrzebowe. W trzech wymienionych lokalizacjach kościołów, przy prowadzonych tam pracach ziemnych, znajdowano bardzo duże ilości ludzkich kości, co stanowi niezbitą dowód istnienia tam cmentarzy przykościelnych.<sup>8</sup>

Teren przykościelny fary kryje nadal ludzkie kości. Przy zakopywaniu słupów pod lampy czy montowania uzienienia piorunochronów odkrywały się kości ludzkie w dużych ilościach. Przechodząc w procesji wokół kościoła czy też spacerując wokół niego, warto pamiętać o tym, że stąpamy po „wielkich połaciach ludzkiej historii” i to tej z zamierzchłych już czasów. Systematycznie koszona w okresie letnim łączka, a jesienią przykrywana dywanem liści, prosi o modlitwę: „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie”.

*Ks. prałat dr Ireneusz Wrzesiński*

<sup>8</sup> Edward Lewandowski, *Nekropolie Ciechanowa*, Ciechanów 2004, s. 11.



# O SZPITALU, KTÓRY NIE POWSTAŁ...



*Kościół w Ciemniewku*

Dnia 21 grudnia 1796 roku w Ciemniewku przyszedł na świat Tomasz Majewski – najmłodszy syn Józefa i Salomei z Młodzianowskich primo voto Konarzewskiej. Miał dwóch braci rodzonych oraz pięcioro przyrodniego rodzeństwa z pierwszego małżeństwa matki z Michałem Konarzewskim. Dobra ciemniewskie, składające się z kilku folwarków, co najmniej od drugiej połowy XVII wieku znajdowały się w rękach rodziny Konarzewskich. Przedostatni właściciel Michał Konarzewski chorąży trembowelski<sup>1</sup> w 1768 roku ożenił się w Radzyminie pod Płońskiem z Salomeą Młodzianowską. Małżonkowie osiedli w rodzonym Ciemniewku. Konarzewski zmarł tam w 1786 roku, w majątku

pozostała wdowa wraz z dziećmi. Pierworodny syn zmarł w dzieciństwie, drugi – Piotr Celestyn obrał drogę duchową, ale również zmarł młodo w Warszawie. Pozostała trójka – Andrzej, Brygida i Mikołaj byli spadkobiercami dóbr Ciemniewskich, którymi w ich imieniu zarządzała matka. W 1788 roku Salomea wysłała powtórnie za mąż za Józefa Majewskiego herbu Starykoń, właściciela Mierzanowa, Szydłowa i Gradzanowa. Majewscy wywodzili się co najmniej od połowy XV wieku ze wsi Maje w ziemi ciechanowskiej, a uroczystość ślubu odbyła się w kościele ciemniewskim.

Małżonkowie Majewscy mieli trzech synów – Floriana, Jana i Tomasza. Tomasz miał niespełna dziesięć lat, kiedy w Szydłowie zmarł ojciec. Zgodnie z jego ostatnią wolą, po dojściu do pełnoletniości synowie objęli: Florian

<sup>1</sup> Godność tytułarna jednego z urzędów ziemskich; tu oznacza tytuł związany z miastem powiatowym Trembowla, obecnie na Ukrainie.





Ołtarz główny

Gradzanowo<sup>2</sup>, Jan<sup>3</sup> Szydłowo, a Tomasz – Mierzanowo. Wychowany w Ciemniewku i najbardziej związany z tym majątkiem Tomasz najwięcej czasu spędzał jednak w dworze ciemniewskim. Po śmierci przyrodniego brata Andrzeja Konarskiego i wystawieniu dóbr Ciemniewko, Olszewka i Pękawka z przyległościami na sprzedaż, Tomasz Majewski w drodze licytacji wykupił je w 1838 roku i osiadł na stałe jako pełnoprawny dziedzic. Matka, Salomea Majewska primo voto Konarzewska przeprowadziła się do syna Jana do Szydłowa,

<sup>2</sup> Florian ożenił się w 1812 r. w Kuklinie z Konstancją Krajewską. Jako jedyny z braci miał potomstwo. Mąż jego wnuczki Ludomir Grendyszyński (dziennikarz i literat) był właścicielem Mierzanowa w drugiej połowie XIX wieku.

<sup>3</sup> Jan Majewski (1800-1882) ziemianin, był członkiem honorowym Deputacji Szlacheckiej Guberni Płockiej; ożenił się z Marianną Lelewel, zmarł bezpotomnie. Żona była młodszą siostrą słynnego historyka Joachima Lelewela, który bywał nie tylko w Szydłowie, ale również w Ciemniewku i Mierzanowie (zapewne również w Ciechanowie).

gdzie zmarła w 1831 roku w sędziwym wieku 80 lat.

Tomasz ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim. W Zgliczynie Kościelnym wziął ślub, a obrzęd tak został opisany: *Roku tysięcznego osiemsetnego dwudziestego piątego dnia dziesiątego miesiąca stycznia przed nami Burmistrzem miasta Radzanowa urzędnikiem stanu cywilnego gminy zgliczyńskiej obwodu mławskiego w województwie płockim stawił się wielmożny Tomasz Franciszek Majewski kawaler, liczący podług złożonej przed nami metryki wyjętej z ksiąg kościoła Ciemniewskiego lat trzydzieści ukończonych<sup>4</sup>, syn niegdy<sup>5</sup> Józefa i Salomei z Młodzianowskich żyjącej prawych małżonków, we wsi swej dziedzicznej zwanej Mierzanowo obwodu przasnyskiego zamieszkały, w asystencji matki swej we wsi swej dziedzicznej zwanej Szydłowo obwodu mławskiego zamieszkałej, (...) która na akt małżeństwa zezwoliła. Stawiła się także wielmożna Róża Ostaszewska panna, dowodząca podług złożonej przed nami metryki wyjętej z ksiąg kościoła parafii gruduskiej że ma lat dwadzieścia, córka wielmożnych Piotra Ostaszewskiego żyjącego i niegdy Franciszki z Jaroszewskich prawych małżonków, we wsi zwanej Bielawy Gołuskie w obwodzie mławskim swej dziedzicznej wraz z ojcem swoim zamieszkałej, w asystencji ojca swego który na ten akt zezwolił. (...) Strony stawiające żądają, ażebyśmy do ułożonego między nimi obchodu małżeństwa przystąpili, którego zapowiedzi przed głównymi drzwiami domu naszego wyszły. (...)*

Majewscy utrzymywali szerokie kontakty towarzyskie z rodzinami ziemiańskimi w powiecie ciechanowskim i poza jego granicami, m.in. z Bojanowskimi, Karniewskimi, Dębskimi oraz wszystkimi przedstawicielami rodu Majewskich. W 1854 roku Tomasz Majewski spisał

<sup>4</sup> Rachunki nie były najmocniejszą stroną naszych przodków – Majewski w chwili ślubu miał ukończone 29 lat.

<sup>5</sup> Sformułowanie oznaczające zmarłego.





*Prawa ściana w prezbiterium*

w Warszawie u reagenta Aleksandra Bryndzy testament, w którym – po różnych legatach<sup>6</sup> prywatnych – oświadczył: *resztę połowy* (druga połowa należała do żony) *całego majątku z wyłączeniem dóbr Mierzanowo odziedziczonych po rodzicach przeznaczam na cele dobroczynne, to jest chcę aby po ustaleń dożywociu mojej żony fundusz z tego z największą starannością zebrany obrócony był na powiększenie ogólnych funduszków na cele dobroczynne*. Funduszem dysponować miała Rada Główna Opiekuńcza zakładów dobroczynnych. Na egzekutorów testamentu wyznaczył przyjaciół - Wincentego Rzewuskiego<sup>7</sup> urzędnika Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu oraz Michała Jaroszewskiego<sup>8</sup>.

<sup>6</sup> W prawie termin ten oznaczał różnego rodzaju zapisy testamentowe.

<sup>7</sup> Wincenty Rzewuski (1803-1866) – ożeniony z córką ziemianina z pułtuskiego, Wincentego Pudłowskiego; Majewski był świadkiem spisania aktów urodzenia dzieci Rzewuskiego, a wraz z żoną Różą byli rodzicami chrzestnymi pierwszoroźnego syna.

<sup>8</sup> Michał Jaroszewski (1805-1870) – ur. w Niestępowie (gm. Pokrzywnica), pochowany na Powązkach; sędzia sądu



*Epitafium Tomasza Majewskiego*

Tomasz Majewski – obywatel ziemski i sędzia pokoju powiatu przasnyskiego<sup>9</sup> zmarł w Warszawie zaledwie kilka miesięcy po sporządzeniu testamentu, szóstego października 1854 roku. Świadcami spisania aktu zgonu byli dziedzic dóbr stupskich Daniel Lasocki oraz przyjaciel Wincenty Rzewuski, obywatel

apelacyjnego w Królestwie Polskim, prezes Trybunału Cywilnego w Warszawie, kawaler orderów św. Włodzimierza i św. Stanisława.

<sup>9</sup> W tym okresie pow. ciechanowski nie istniał, włączony był do pow. przasnyskiego.





*Chrzcielnica Ciemniewko*

Warszawy. Wdowa zamieściła w Kurierze Warszawskim nekrolog. Majewski pochowany został na cmentarzu powązkowskim, a na pomniku zamieszczono epitafium: *Tu spoczywają zwłoki ś.p. Tomasza Majewskiego, sędziego pokoju okręgu przasnyskiego, najlepszego męża, najgodniejszego obywatela. Przechodniu, westchnij do Boga po spokój Jego duszy.* Róża Majewska ponownie wyszła za mąż w 1857 roku w Ciemniewku za syna oficera z powstania listopadowego Tadeusza Narcyza Mierzyńskiego herbu Jastrzębiec z Wąsoszy pod Koninem, także wdowca. Ponieważ Tadeusz Mierzyński posiadał własne dobra w Wielkopolsce, pełnił różne funkcje społeczne,

małżonkowie w dużej mierze przebywali w Wąsoszy lub w Warszawie. Za zgodą egzekutorów testamentu Róża wypuściła odziedziczone dobra w dzierżawę Marcinowi Pudłowskiemu, szwagrowi Wincentego Rzewuskiego. Zarządzał on Ciemniewkiem od 1857 do ok. 1869 roku. W 1862 roku wdowa po Tomaszu Majewskim złożyła wniosek do Wydziału Prób i Zaaleń urzędu gubernialnego w Płocku o nabycie drugiej części dóbr ciemniewskich, zapisanych na rzecz Instytutów Dobroczynnych. Wniosek został rozpatrzony pozytywnie, a należność za połowę dóbr została zdeponowana w banku na rzecz wykonania testamentu. Rodzina Tomasza utrzymywała do końca ściśle kontakty z Różą, bywali często w Ciemniewku, a Róża kilkakrotnie była chrzestną dzieci bratanka męża, Modesta Majewskiego oraz uczestniczyła we wszystkich innych uroczystościach rodzinnych.

Przed 1870 rokiem Róża Mierzyńska wypuściła dobra ciemniewskie w dzierżawę pochodzącemu z Ostrołęki Antoniemu Jaroszewskiemu, spokrewnionemu z jednym z wykonawców testamentu Tomasza Majewskiego. Jego żoną była chrześniaczka pani Róży, urodzona w 1850 roku w Nasierowie Dolnym Natalia z Kocięckich. Związki Jaroszewskich z Różą Mierzyńską musiały być dosyć silne, bo dziedziczka ciemniewska została w kolejnym pokoleniu chrzestną ich córki. Róża przeżyła drugiego męża (zmarł w 1863), jak również wykonawców ostatniej woli Tomasza, a sama zmarła 21 grudnia 1886 roku w ukochanym Ciemniewku i została pochowana na tamtejszym cmentarzu przykościelnym<sup>10</sup>. Po śmierci Mierzyńskiej Jaroszewski odziedziczył Ciemniewko, a w końcu XIX wieku przekazał majątek młodszemu, bardziej energicznemu bratu - czterech imion Justynowi Tadeuszowi Gustawowi Arturowi, który czynnie udzielał się w regionie. M.in. był

<sup>10</sup> Obecny cmentarz założony został w 1888 roku.



członkiem komisji poboru rekruckiego w powiecie ciechanowskim, utrzymywał liczne kontakty z innymi obywatelami ziemskimi, udzielał się towarzysko, prenumerował prasę regionalną i krajową. Gustaw Jaroszewski zmarł w wieku 68 lat w Ciemnie w 1926 roku.

Po śmierci Róży Mierzyńskiej primo voto Majewskiej powstała skomplikowana sytuacja prawna. Jej spadkobiercy (potomkowie Floriana Majewskiego oraz Jaroszewski) wpłacili co prawda na konto wydzielonego funduszu w kantorze banku warszawskiego sumę ponad 34 tysięcy rubli, ale była to częściowa wartość majątku, w skład masy spadkowej po Tomaszu Majewskim wchodziły jeszcze inne aktywa, łącznie ze stanowiącym osobistą własność Mierzanowem. W końcu XIX wieku kapitał w banku dzięki odsetkom wzrósł do ponad 50 tysięcy rubli, ale egzekutorzy testamentu dawno zmarli i nie wiadomo było, kto ma prawo do wykonania ostatniej woli. Większość przychyliła się do zdania, że głos decydujący powinna mieć rodzina testatora. Należy podkreślić, że Tomasz Majewski był bezdietny, jego bracia nie żyli, a dziedziczenie dotyczyło krewnych w dalszym stopniu pokrewieństwa.

Dyskusje przeniosły się na łamy prasy. Dowodowano, że Tomasz Majewski z pewnością nie chciałby, aby kapitał leżał bezczynnie, tylko żeby przynosił pożytek potrzebującym. Jedną z najbardziej popieraną propozycją był pomysł budowy szpitala w Ciechanowie. Tomasz Majewski całe życie spędził w powiecie ciechanowskim, był właścicielem Mierzanowa i Ciemnie, więc fundusz powinien być obrócony na pożytek mieszkańców tej okolicy. Ciechanów nie posiadał szpitala, najbliższy znajdował się w odległym o trzy mile<sup>11</sup> Przasnyszu. Zgodnie podkreślano, że szpital w mieście jest konieczny, niezbędny, a wybudowanie go z legatu Majewskiego jest sprawą bardzo ważną dla

<sup>11</sup> Mila rosyjska = 7,468 km.

Wczoraj, zszedł z tego świata ś. p. JW. Tomasz Majewski, b. Sędzia Pokoju Ptu Przasnyskiego, Właściciel dóbr ziemskich. Pozostała Żona, zaprasza Krewnych, Przyjaciół i Znajomych, na exportację zwłok Jego, jutro o godz. 3:00 po południu, z domu przy ulicy Jerozolimskiej Nr 1574c, na smętarz Powązkowski; a w dniu 9 b. m. na żałobne Nabożeństwo w Kościele XX. Reformatorów, o godz. 10:00 z rana, odbyć się, mające.

mieszkańców całego powiatu. W powszechnej opinii sprawą powinna jak najszybciej zająć się rodzina spadkodawcy wraz z radą powiatową dobroczynności publicznej w Ciechanowie. W końcu XIX wieku sporną kwestią spadkową były dobra Mierzanowo, którymi zarządzał mąż wnuczki Floriana Majewskiego, Ludomir Grendyszyński<sup>12</sup>. Tak tłumaczył on opieszałość w działaniu: *z powodu zapisu na cele dobroczynne dóbr Mierzanowo będących obecnie w moim posiadaniu mam zaszczyt oznajmić, że spadkobiercy zapisodawcy nie omieszkają upomnieć się o ściśle i zgodne z duchem jego zapisu wykonanie ostatniej jego woli. Powodem, dla którego dotychczas tego nie uczynili, było najpierw ciężące na zapisie dożywocie, a następnie trudności, napotymane przy zbieraniu odnośnych informacji i dokumentów. L. Grendyszyński<sup>13</sup>.*

Lata płynęły, kapitał w banku rósł, ale brakowało zdecydowania, więc szpital w Ciechanowie wciąż był tylko w sferze planów. Pomału zarówno te szlachetne plany, jak i ciekawą postać dobroczyńcy pokrywał kurz zapomnienia. Wybuch wojny światowej ostatecznie rozwiązał problem, pieniądze w banku przepadły, realia się zmieniły i wszelkie dyskusje o testatorze oraz jego zapisie stały się bezprzedmiotowe. A szkoda....

Grażyna Czerwińska

<sup>12</sup> Ludomir Grendyszyński (1859-1922) – dziennikarz, wydawca, działacz społeczny; ożenił się z Haliną Filomeną Brochocką, córką bratanicy Tomasza Majewskiego.

<sup>13</sup> Echa płockie i łomżyńskie, nr 10, 1898.



# CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ...



Jestem niezmiernie wdzięczny moim ciechanowskim nauczycielom za doskonale przygotowanie mnie do stawiania czoła wyzwaniom współczesnego świata – mówi **Janusz Zalewski**, absolwent I Liceum Ogólnokształcącego im. Zygmunta Krasińskiego w Ciechanowie, które ukończył w 1967 roku. Wśród swoich koleżanek i kolegów zawsze cieszył się opinią wybitnego talentu matematycznego, co znalazło potwierdzenie w dalszych losach naszego bohatera.

W 1973 roku ukończył studia na Wydziale Elektroniki Politechniki Warszawskiej, uzyskując dyplom inżyniera elektronika ze specjalnością automatyka, a w 1979 roku obronił doktorat z informatyki na tej uczelni. Po studiach pracował w Instytucie Badań Jądrowych w Warszawie i w Świerku – aż do 1989 roku, gdy wyemigrował z rodziną do USA. Amerykański świat nauki wykorzystał wiedzę i doświadczenie naukowca z Polski, zatrudniając go m.in. w laboratoriach jądrowych, centrum badań kosmicznych NASA w Kalifornii, w laboratoriach Amerykańskich Sił Powietrznych w Rome w stanie Nowy Jork oraz w United States Air Force Academy w Kolorado. Oprócz prowadzenia prac badawczych Janusz Zalewski zajmował się nauczaniem informatyki w Teksasie i na Florydzie.

Obecnie, po ponad 30 latach za granicą, wrócił do Polski i w rodzinnym Ciechanowie uczy informatyki w Państwowej Uczelni Zawodowej. Od wielu lat w wolnym czasie pisze eseje i tłumaczy na język polski poezję amerykańską, publikując m.in. w „Odrze” oraz „Nowej Okolicy Poetów”. Swoich ciechanowskich przyjaciół kilkakrotnie zapraszał do Teatru Polskiego w Warszawie, gdzie organizował spotkania poetyckie i prezentował m.in. poezję amerykańską.

Publikowane dziś wspomnienia ciechanowskiego dzieciństwa Janusza Zalewskiego – „Zala” – są maleńką próbką talentu humanistycznego tego wybitnego naukowca.

## HISTORIA MAŁEGO ZALA W DWUNASTU FOTOGRAFIACH Z KOMENTARZEM

Każdy senior był kiedyś juniorem, a nawet młodzikiem, by użyć terminologii sportowej. Pamięć o tych latach tkwi w nas nie bez powodu, bo właśnie one nas kształtowały. Może nawet do końca nie zdajemy sobie z tego sprawy, ale to, co stało się w naszym życiu, jest mniej lub bardziej bezpośrednią konsekwencją oddziaływań, jakim podlegamy w dzieciństwie. Tu tworzą się i układają nasze charaktery, krystalizują nasze potrzeby, zainteresowania, a nawet przekonania, niezależnie od tego, czy jesteśmy tego świadomi, czy nie.

Kiedy oglądam stare fotografie, mam nieodparte wrażenie, że właśnie te utrwalone na

nich epizody zaważyły na uformowaniu się mojej osobowości i zdeterminowały zasadnicze cechy mojego charakteru. Już na pierwszym zdjęciu (Fot. 1) widać, że mały Zala to maminusynek. Usadowił się mamie na kolanach i z tej





bezpiecznej pozycji poznaje świat. Jeszcze nie wie, że ta wyrastająca przed nim butelka będzie prześladowała go przez resztę życia.

To opiekuńcze niewieście towarzystwo najwyraźniej mi odpowiadało, co da się zauważyć także na następnym zdjęciu (Fot. 2) – z babcią



ze strony mamy, w ogrodzie dziadków ze strony ojca. Już nie pcham się na kolana, ale wciąż najwyraźniej czuję się pewnie w objęciach. Wyraz twarzy kobiet starszego pokolenia zdecydowanie kontrastuje z uśmiechami mamy i ciotek na poprzedniej fotografii, co miało na mnie wpływ niebagatelny. U dziadków panował większy rygor niż u rodziców, do tego stopnia, że na powitanie całowało się dziadka w rękę, co było skrupulatnie przestrzegane jako rodzinny rytuał.

Byłem dopieszczany przez mamę i mimo rygoru wprowadzanego przez dziadków szybko okazało się, że jestem straszna d--a. Kiedy opiekuńczych kobiet nie było w pobliżu, musiałem sobie radzić sam i – jak widać na następnym zdjęciu (Fot. 3) – jestem sam, bo nie znałem ani rytuału, ani języka, którym posługiwali się kole-dzy z ulicy, a i oni niespecjalnie kwapili się, by przyjąć mnie do swojego grona. Sfrustrowany,



nie widząc innego wyjścia, poszedłem kiedyś do matki mojego kolegi z ulicy Nadrzecznej, Waldka Sokołowskiego (starszego brata prof. Marka Sokołowskiego, SJ) na skargę, oznajmiając, że Waldek nie chce się ze mną bawić. Skutek był taki, że dostałem natychmiast przydomek „Skarżypyta”.

Ojciec, ciechanowski taksówkarz z numerem 2, próbował mnie „prostować”, nęcąc automobilem (Fot. 4). Z marnym jednak skutkiem, bo nadal lgnąłem do płci przeciwnej, tylko teraz w nieco inny sposób. Pamiętam, jak w drugiej klasie podstawówki napisałem list miłosny do Zosi, która mi się bardzo podobała. Brzmiał on: „Kocham cię z całego serca” i podpisałem go:





„Zalewski Janusz”. Dziewczynka oddała ten list wychowawczyni, a ta odczytała go głośno przed całą klasą. Odtąd w kontaktach z płcią odmienną zaczęła mi towarzyszyć ogromna trauma i do dziś nie jestem pewien, czy wyżyłem się jej całkowicie.

Od dawna nurtuje mnie kwestia, jak to się dzieje, że człowiek – najpierw w dzieciństwie, a potem w młodości – nabiera cech charakteru, które później, z lepszym lub gorszym skutkiem, wiodą go przez całe życie. Nietrudno dojść do banalnego wniosku, że oprócz rodziny to szkoła kształtuje w nas pewne wartości, które potem tkwią w człowieku i trwają w zasadzie niezmiennie do późnej starości. Ale jak to dokładnie wygląda z perspektywy kilkudziesięciu lat, które dzielą nas od tych czasów?

Pierwsza rzecz, jaka przychodzi mi do głowy podczas przeglądania dawnych fotografii, to wpajanie zasady współzawodnictwa, którą najłatwiej realizowało się w owych czasach przez sport. Ale że mały Zalo to była straszna d--a, szło mu jak po grudzie. Już na pierwszym sportowym zdjęciu (Fot. 5) widać, że



do saneczkarstwa miałem podejście niechętnie, i to nie przez te dwie dziewczynki, które akurat zajęły moje sanki. Otóż, zjeżdżając z oblodzonej górki na Blokach, wpadłem na widoczny z lewej strony kibel i poharatałem sobie głowę o zardzewiały gwóźdź wystający z deski w drzwiach. Tak skończyła się moja kariera w sportach zimowych.



Moje dalsze potyczki sportowe wiązały się z piłką nożną. Ale proszę spojrzeć na tych dwóch młodzieńców (Fot. 6) – czy może osiągnąć sukces ktoś, kto w ten sposób walczy o piłkę? Przygląda się, czy piłka się rusza, żeby przypadkiem się o nią nie przewrócić. Przy tak „bojowej” postawie nie miałem żadnych szans na zostanie piłkarzem.

Z tą fotografią wiąże się jednak inna ciekawa historia, która towarzyszyła mi przez resztę życia. Kolega, który tak dziwnie potyka się ze mną o piłkę, to Józio Janowski. Państwo Janowscy mieszkali na Nadrzecznej naprzeciwko domu mojego dziadka, w mieszkaniu będącym częścią bazy samochodowej MHD (czyli przedsiębiorstwa Miejskiego Handlu Detalicznego). Józio, starszy ode mnie o rok i dobrze podszkolony przez obserwację życia codziennego kierowców, zaprosił mnie kiedyś do swojej „kryjówki” znajdującej się we wnętrzu porzuconej lady sklepowej, na kupie innych zdezelowanych



mebli. Tam poczęstował mnie sportem. Opalił się jak baki, a mieliśmy po 7–8 lat. Kiedy wróciłem do domu, ojciec wyczuł woń tytoniu i spuścił mi takie manto, że od tamtego czasu nie wziąłem papierosa do ust. I to nie dlatego, że mam uczulenie na dym.

Nie osiągnąwszy sukcesów w saneczkarstwie ani w piłce nożnej, zacząłem próbować sił w kolarstwie, szczególnie zainspirowany powodzeniem narodowej ikony, Staszka Królaka. Ojciec kupił mi rowerek z wielkim dzwonkiem, ale nie miałem szczęścia za dużo na nim pojeździć, bo każdy chciał się na nim fotografować. Trzeba było mi go siłą wydzierać, co widać na zdjęciu (Fot. 7), na którym wujek Józek pilnuje, abym



nie zaatakował rowerzystki. To nieważne, że ta śliczna dziewczynka na siodelku to moja siostra Ania.

Ze zdjęciem wiąże się też historia młyna Lubienieckiego i Mundsztuka – to ta odrapana ściana w tle za krzakami. Do starego młyna, który stoi w tym miejscu do dzisiaj i coraz bardziej dewastowany domaga się przyspieszenia należnego mu odrestaurowania, przylegała posiadłość moich dziadków na Nadrzecznej, podwórze z ogrodem. Kiedy tam mieszkałem, młyn był dobrze prosperującym zakładem produkującym mąkę, kasze i inne zbożowe specjały.

W młyńskim podwórzu znajdowała się stodoła, wokół której biegaliśmy na wyścigi długodystansowe, a latem, gdy chłopcy przywozili zboże i młyn pracował na nocną zmianę, udawało nam się wśliznąć do środka i obejrzeć pracujące żarna. Staliśmy tak z otwartymi ustami, pokryci mącznym pyłem, do momentu, aż któryś z podchmielonych młynarzy nas nie zauważył i nie wygonił. Uciekaliśmy wtedy przez korytarze kręte jak w zamku krzyżackim, wyskakując z piętra przez zakratowane okna, które Uchel i Dymek podpiłowali poprzedniej zimy na tę okoliczność.

O ile inne sporty nie pociągały mnie już tak bardzo, o tyle długo nie mogłem zrozumieć, że kolarstwo też nie jest moim przeznaczeniem. Działo się tak chyba ze względu na coroczny Wyścig Pokoju, który wszystkim nam dodawał skrzydeł. Ścigaliśmy się wtedy środkiem ulicy, po bruku, popychając patykiem metalowe obręcze od kół rowerowych, nawet pozbawione szprych, gdyż tych używaliśmy do konstruowania specjalnych proc. Musiało to ująć za serce mojego ojca, bo w nagrodę za dobre wyniki w nauce kupił mi prawdziwy „dorosły” rower. Nieszczęściem było jednak to, że wszystkie dziewczyny z ulicy pchały mi się na ramę (Fot. 8).



Ja miałem jednak inne ambicje kolarskie: chciałem wziąć udział w prawdziwym wyścigu. Trenowałem, jeżdżąc ulicą Przasnyską do Przedwojewa i z powrotem, a w porywach do



Woli Wierzbowskiej. Gdy nadarzyła się pierwsza okazja, zgłosiłem się do Mistrzostw Ciechanowa Młodzików. Szkopuł w tym, że byłem wysportowany i zapalczywy, ale nadal d--a, czyli naiwny. Przez cały wyścig siedziałem na kółku liderowi (pamiętam jego nazwisko, ale nie będę przytaczał), który tuż przed metą się zdenerwował i podciął mnie tylnym kołem, tak że wylądowałem głową na asfalcie i zabrała mnie nyska z napisem „Koniec wyścigu”. Ojciec zamknął mój rower na klucz i wysłał mnie na kolonie letnie na Mazury. Stamtąd wróciłem już po trzech dniach, bo żeby zaimponować Grażynie Włoczewskiej, skoczyłem do jeziora z trampoliny prosto na kolek i rozbiłem sobie głowę z drugiej strony. Po powrocie okazało się, że rower mi ukradli.

Przynależność do mniejszej lub większej grupy niewątpliwie kształtuje młodego człowieka. Jak wspominałem, w dzieciństwie nikt nie chciał się ze mną bawić, z konieczności musiałem więc przebywać w towarzystwie dorosłych. Imponowały mi szerokie spodnie, w których jednej nogawce mieściłem się cały, długie ciężkie szynele z dwoma rzędami guzików, męskie szaliki w dużą kolorową kratę i okrągłe płaskie czapki z daszkiem, w jodelkę, jak na zdjęciu. Nic z tego nie było mi jednak dane nosić. Mogłem co najwyżej mieć paltko, pilotkę i rękawiczki na sznurku.

Ci czterej panowie wokół mnie (Fot. 9) to demonstracja siły. Kroczymy ulicą Warszawską, w marcu, idąc na inauguracyjny mecz piłkarski



sezonu z „Mławianką”. Wtedy brałem nauki kibicowania u ojca (obok mnie z prawej strony) oraz wujka Romana (pierwszy z prawej) i dopingowałem „Ciechanowiankę”, która znacznie później stała się „Jurandem”. Pamiętam, że w drużynie grali m.in. Szafa (Szafirowicz) w pomocy, który mieszkał na mojej ulicy, Szalajski w ataku (nie pochodził z Ciechanowa, ale akurat służył tu w wojsku), a także pewien fenomenalny bramkarz, którego grę pamiętam, jakby to było wczoraj. Nazywał się chyba Gajownik i specjalizował się – o dziwo – w strzelaniu rzutów karnych.

Chociaż na następnym zdjęciu z pierwszej komunii (Fot. 10) jestem sam, to jednak jako członek ogromnej zbiorowości katolików. Do dziś żałuję, że nie zostałem ministrantem, ale widocznie nie miałem odpowiednich predyspozycji. Dużo by mówić o tamtych czasach, o spowiedzi, o mszy niedzielnej na dziewiątą, o lekcjach religii, o odpustach i niedozwolonych





wizytach na Farskiej Górze i w dzwonnicy, a nawet w... piwnicze księdza Tenderendy, z którego bratankiem kumplowałem się później na studiach. Nie będę jednak wzbudzał niepotrzebnych emocji i zamiast tego zacytuję opowiadanie mojego przyjaciela, amerykańskiego pisarza polskiego pochodzenia, Stuarta Dybka.

Stuart Dybek, „Spowiedź”

Ojciec Bogusław był księdzem, na którego czekałem, tym którego oddech przez cieką kratę konfesjonału przypominał mi wentylator na zapleczu baru „U Vica”. Fukał i cmokał, jakby w odpowiedzi na moją monotonną litanię grzechów, i wyobrażałem go sobie rozłożonego w swoim sześcianie, przyodzianego w szaty, w sposób, w jaki siedział, podupadły, przy tylnym wejściu do zakrystii, przed odprawieniem porannej mszy – na kacu, zaciągając się dogasającym pallmalem, wydychając dym.

Nagle jego głowa uderzyła o drewnianą ściankę.

Ojczy! – wyszeptalem. – Ojczy!

Ale on nie kontaktował, chrapiąc. Klęczałem tak, nie wiedząc, co począć, aż w końcu on stęknął i ocknął się ze snu.

Jak zawsze, zostawiłem grzechy śmiertelne na koniec: kłamałem i odpisywałem prace domowe, podwędzałem drinki, opuszczałem zajęcia, podróżowałem autostopem, co – jak byłem przekonany – stanowiło wykroczenie przeciwko piątemu przykazaniu, które zabraniało samobójstwa. Zanim doszedłem do bezwstydných zdjęć koreańskich dziewczyn, które podprowadziłem z komody mojego bohatera wojennego, wuja Ala, i bez wahania ukryłem za szopą na olej, on zapukał w konfesjonał i powiedział, że daje mi rozgrzeszenie.

Za pokutę: „Idź w pokoju, mój synu. Ja dosyć dzisiaj cierpię za nas obu”.

tłum. Dobrosława i Janusz Zalewscy

Inną ważną sferą zbiorowej działalności w czasach, które nas kształtowały, było harcerstwo, ale ja do tego nie dotrwałem, skończyłem na zuchach. Przyczyną było znowu to, że mnie zniechęcono. Na obozie zuchów w Zalesiu, w „zieloną noc”, druż, którego nazwiska nie

wspomnę, wysmarował mnie pastą do zębów. Prawdopodobnie motywowało go to, że byłem d--a. Nie dość, że strasznie mnie to szczypało, to stałem się pośmiewiskiem całego zastępu i uznałem, że harcerzem, podobnie jak sportowcem i ministrantem, chyba dobrym nie będę.

Ale na zdjęciu (Fot. 11) zapowiadałem się bardzo dobrze. Jako jedyny z całego zastępu idę



ramię w ramię z zastępowym. Jest nim Waldek Jabłoński, który trzyma totem. Pamiętam, że zazdrościłem mu dużej głowy, bo myślałem, że bycie zastępowym zależy od tego, żeby pasował na niego hełm.

Najbardziej naturalną zbiorowością, w której dostawaliśmy lekcje wychowania, była oczywiście szkoła. Kolejne zdjęcie (Fot. 12) przedstawia



klasę pani Jaworskiej w Szkole Podstawowej nr 1 na Orylskiej. Rozpoznaję tylko chłopców, bo w tym czasie przestałem już interesować się dziewczynkami. Niestety, wielu z nich już nie żyje. W górnym rzędzie od lewej (może ktoś



z czytelników coś doda albo mniej skoryguje): Jasiński (zapomniałem imienia), Wojtek Komorowski (ksywa Gała, ale dużo później), chyba Rysiek Dymkowski (ksywa Dymek), nie pamiętam nazwiska, Wojtek Wiesiołek, Achciński (nie pamiętam imienia), nie pamiętam nazwiska, Marek Romanowski (ksywa Gówniarz), dwóch kolejnych panów, nie pamiętam nazwiska, Adam Proszek, Wojtek Żyża, nie pamiętam nazwiska.

W drugim rzędzie trzeci od lewej Henio Marciniak, z jego lewej strony Walasiewicz, a z prawej Szatybełko. Koło dyrektora Bukowińskiego z lewej strony stoi Andrzej Chmielewski (ksywa Chmielas), niesłychanie zdolny człowiek, który zawsze ogrywał wszystkich w palanta i w pokera, a nad nim Osiński i w pierwszym rzędzie Janusz Myśliński (ksywa Myślun). Właśnie wszyscy czterej dostaliśmy w ucho, bo graliśmy

na boisku w piłkę i spóźniliśmy się na zdjęcie. Ja (drugi od lewej w pierwszym rzędzie) dostałem podwójnie, bo w tzw. wyścigu do słupa (co polegało na najszybszym dobiegnięciu po dzwonku na przerwę do szkolnego masztu na placu apelowym) potrąciłem którąś nauczycielkę i nie zatrzymałem się, żeby ją przeprosić. Na zdjęciu przyjąłem dobrze wytrenowaną pozę – tak fotografowali się czołowi zawodnicy pierwszej ligi. Pani Jaworska jest w otoczeniu swoich ulubienic, u dołu Bogusia, a z jej lewej strony Zosia, do której napisałem nieszczęsny liścik miłosny.

Historie małego Zala są może interesujące, ale dość niewinne. Więcej smaczku miałyby pewnie opowieści średniego Zala, gdyby doszło do ich opisanie i opublikowania.

\* \* \*

Opracowanie: Ewa Gładysz



*Ciekawość świata i różnorodność zainteresowań małego Zala uczyniły z niego nietuzinkowego człowieka. Pan Profesor Janusz Zalewski jest nie tylko naukowcem, ale także człowiekiem wielu pasji (zdjęcia aktualne z archiwum prywatnego).*



# MOJE WSPOMNIENIA Z DEPORTACJI W 1945 ROKU DO ZSRR

Nazwisko Zblewskich pochodzi od miejscowości Zblewo na Kaszubach. Rodzina w latach 30. ub. wieku mieszkała w Kacku Wielkim pod Gdynią. W lipcu 1939 roku w obawie przed zbliżającą się wojną przedostali się do Torunia. Ojciec Pana Kazimierza był z pochodzenia Kaszubem. Urodził się w Kościerzynie. Matka miała mamę i rodzinę w Toruniu, stąd decyzja o przeniesieniu. W Toruniu w czasie okupacji ojciec pana Kazimierza, z zawodu cieśla, pomagał przy budowie domu rodzinnego, potem dom ten rodzina sprzedała i przeprowadziła się do większego. To było ważne, bo utrzymywali się m.in. z wynajmu mieszkań.

W 1942 r. cała rodzina została przymuszona do przyjęcia III grupy niemieckiej listy narodowościowej, bo inaczej zostaliby deportowani do Generalnego Gubernatorstwa. Taka decyzja nie była łatwa i wiązała się z konsekwencjami. Efektem było wcielenie ojca pana Kazimierza do Wehrmachtu wiosną 1943 r. (gdy dostał się do niewoli, wstąpił do Armii Polskiej). Później były też i inne, jak wywózka Kazimierza – 15-letniego wówczas chłopca, który nie należał do niemieckich formacji paramilitarnych – na Sybir, co nastąpiło w wyniku donosu.

Rodzina głęboko wierząca. Pan Kazimierz jest przekonany, że Opatrzność nie raz uratowała go od śmierci. Syn jest księdzem – proboszczem w Golubiu-Dobrzyniu, nieformalnym kapłanem Rodzin Ofiar Obozu NKWD w Ciechanowie.

Volkslisty – niemieckie listy narodowościowe, wprowadzane na ziemiach wcielanych do III Rzeszy. Były cztery kategorie list, tworzonych na podstawie szczegółowych ankiet:

- etniczni Niemcy;
- ludność pochodzenia niemieckiego – bierna politycznie diaspora niemiecka;
- autochtoni, uważani przez Niemców za częściowo spolonizowanych oraz Polacy niemieckiego pochodzenia;
- spolonizowana ludność pochodzenia niemieckiego.

Dwie pierwsze grupy otrzymywały obywatelstwo niemieckie, trzecia – warunkowe obywatelstwo na okres do 10 lat, czwarta grupa otrzymywała obywatelstwo na zasadzie wyjątku. Wypełnienie ankiety w sprawie volkslisty było na Pomorzu obowiązkowe. Ponieważ nie przynosiło to pożądanego rezultatu, Albert Foster namiestnik Okręgu Rzeszy Gdańsk – Prusy Zachodnie wydał obwieszczenie z wytycznymi do stosowania sankcji za odmowę wpisania na volklistę. Opornym groziło wysiedlenie do Generalnego Gubernatorstwa, obozy pracy, a nawet obóz koncentracyjny, zmniejszono racje żywnościowe, wykwaterowywano do gorszych lokali, pozbawiano prawa wykonywania zawodu i prawa do opieki zdrowotnej.

Akcja wpisywania na listę narodowościową zakończyła się w połowie września 1944. Dane dla Pomorza Gdańskiego wskazują, iż na volklistę znalazło się 950 tysięcy osób, tj. około 54,5% ludności, z czego po 100 tysięcy zaliczonych do grupy I i II, ponad 700 tysięcy z grupy III i kilka tysięcy zaliczonych do grupy IV. Wyniki wpisów były skutkiem ogólnej atmosfery zastraszenia oraz polityki Forstera, który szybką germanizacją Pomorza pragnął zaskarbić sobie względy Hitlera.

Na terenach okupowanej Polski wpisem objęto według różnych szacunków od 2 do 3 milionów ludzi. Co ciekawe, polski rząd emigracyjny oraz niektórzy duchowni nalegali, aby podpisywać volklistę. Miało to służyć przetrwaniu biologicznemu narodowi polskiemu.

Wróciłem...

Do wybuchu II wojny światowej ukończyłem drugą klasę szkoły podstawowej. Po zajęciu przez Niemców terytorium Polski, w październiku 1939 roku wyszło rozporządzenie, ażeby uczniowie zgłosili się do szkół. Mnie

wyznaczono uczęszczanie do drugiej klasy. Nauka odbywała się wyłącznie w języku niemieckim. W dniu 4 lutego 1944 roku ukończyłem czternaście lat, był to kres mojej nauki w szkole, zakończony piątą klasą. W styczniu 1944 roku otrzymałem świadectwo i wezwanie





z Urzędu Zatrudnienia. Wręczono mi tam skierowanie do warsztatu tapicerskiego pana Czajkowskiego przy ul. Szewskiej. Pobieranie nauki zawodu trwało do stycznia 1945 roku. 17 stycznia wyszedłem jak zwykle do pracy i zastałem ogromny ruch na ulicach. W kierunku dworców z bagażami udawały się grupy dorosłych z dziećmi. Niemcy mieszkający w Toruniu w popłochu opuszczali miasto. Było słychać głuchy łoskot wybuchów artyleryjskich, rosyjskie wojska przerwały front. Tramwaje rano jeszcze krążyły. Jednym z nich udałem się do miasta. Przyszedłem do warsztatu, lecz nie zastałem w nim nikogo. Każdy z uczniów (było nas trzech) miał klucz do warsztatu. Pobyłem tam około godziny, a ponieważ nikt więcej nie przyszedł, wyszedłem do miasta na przystanek. Tramwaje przestały już kursować, więc udałem się do domu na piechotę. Toruń został wkrótce okrążony i 2 lutego zajęty przez wojska rosyjskie. Mieszkałem z rodzicami przy ulicy Studziennej 15, na Jakubskim Przedmieściu.

Przyszli po mnie...

W dniu 6 lutego 1945 roku, około godziny 19 słychać pukanie do drzwi. Mama otwiera, a na korytarzu stoi dwóch NKWD-owców. Wchodząc do mieszkania, od razu skierowali do mnie pytanie:

- To ty jesteś Kazimierz Zblewski?
- Tak – odpowiedziałem.

Spoczywałem akurat kolację. Zażądali ode mnie dowodu osobistego, a po jego otrzymaniu

i obejrzeniu nakazali mi się ubierać i pójść z nimi. Jeden z nich poinformował moją mamę, że za 10 minut wróć. Kiedy wyszliśmy z domu, na ulicy stało już ośmiu mężczyzn, podobnie jak ja, zabranych z domu. Wszyscy udaliśmy się do sąsiedniego domu pod numer 17, z którego wyprowadzili kolejnego człowieka. Był to pan Aleksander Jasiński. Całą naszą dziesiątkę zaprowadzono na ulicę Targową, przy której znajdował się tak zwany obóz uciekinierów z terenów zajętych już przez Rosjan. Obóz ten od 1944 roku zamieszkiwali między innymi Ukraińcy i Volksdeutsche z Generalnej Guberni oraz Niemcy z tamtych terenów. Obóz był prawie opustoszały. Jego mieszkańcy, z obawy przed Rosjanami, prosili o przechowanie u rodzin zamieszkałych przede wszystkim na Jakubskim Przedmieściu. Do naszego mieszkania mama przyjęła dwie rodziny, jedną z Warszawy i jedną z Ukrainy.

Zaprowadzono nas do jednego baraku zaraz przy ulicy, po czy byliśmy wzywani po kolei, pojedynczo na przesłuchanie, które przeprowadzał oficer NKWD. Ja zostałem wyczytany jako ostatni na to przesłuchanie. Z całej dziesiątki ludzi aresztowanych tego wieczoru tylko ja legitymowałem się III grupą niemiecką – tzw. Einegadeutsch. Dwa dni przed aresztowaniem ukończyłem 15 lat. W pomieszczeniu, w którym byłem przesłuchiwany, przebywała również znana mi pani posiadająca II grupę niemiecką, tzw. Volksdeutsch. W trakcie przesłuchania oficer NKWD stawia pytania:

- Gdzie jest twój ojciec?

Odpowiadam:

- Po przyjęciu III grupy został wcielony wiosną 1943 roku do wojska niemieckiego, a jeszcze jesienią tego roku otrzymywaliśmy listy od ojca z Francji, z miejscowości Cherburg. W 1944 roku zostaliśmy poinformowani przez angielski Czerwony Krzyż, iż ojciec przebywa w niewoli na terenie Anglii.



To wyjaśnienie spowodowało u oficera przekonanie o mojej przynależności do Hitlerjugend. Odpierając zarzuty, starałem się wyjaśnić, iż do HJ mogli należeć tylko chłopcy, których rodzice przyjęli co najmniej II grupę niemiecką, a moją rzekomą przynależność można w bardzo prosty sposób sprawdzić. Po tych moich wyjaśnieniach oficer zaczął wypisywać coś na kartce, po czym podpisał się i przystawił pieczęć. Kartkę przekazał kobiecie, o której wcześniej wspominałem, równocześnie oznajmiając jej, iż jest wolna. Najprawdopodobniej była to przepustka. Zapamiętałem, że kobieta ta wychodząc, zapraszała oficera do siebie do domu.

Kiedy wróciłem już z deportacji do domu, mama opowiedziała mi, że ta pani przyszła poinformować ją o moim aresztowaniu i chwaliła się, że wie, kto doniósł na mnie, ale nie podzieli się tą informacją. Wtedy skojarzyłem sobie jej obecność w trakcie przesłuchań, po czym doszedłem do wniosku, iż to ona zadencjonowała osoby z II grupą niemiecką. Najprawdopodobniej została jej złożona „propozycja nie do odrzucenia”. Ludzi z taką grupą na Jakubskim Przedmieściu było niewielu, ale byli znani z racji posiadania piekarni czy różnego rodzaju sklepów. Byłem najmłodszy z aresztowanych osób. Wspominałem już, że nikt spośród nas nie posiadał grupy obywatelstwa niemieckiego. Gdyby ktoś je posiadał, już wcześniej zostałby wcielony do wojska niemieckiego.

Po przesłuchaniu oficer spisał moje personalia, po czym kazał wezwać wszystkich zatrzymanych. Jednemu z NKWD-zistów wręczył listę z nazwiskami. Wyprowadzono nas z obozu i poprowadzono w stronę miasta. Zostaliśmy doprowadzeni do budynku, który przed wojną stanowił własność Wojewody Pomorskiego, a obecnie jest własnością Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika. Wprowadzono nas do pomieszczenia na parterze, gdzie znajdowali się już



inni zatrzymani. W tym budynku przebywaliśmy trzy dni – bez jedzenia i picia. Drugiego dnia mój znajomy pan Jasiński otrzymał dostarczoną mu przez żonę paczkę żywnościową. Były w niej kanapki z chleba. Pan Jasiński rozdzielił zawartość pomiędzy wszystkich przebywających w tym pomieszczeniu. Każdemu przypadło pół kanapki. Po upływie trzech dni przyszedł oficer z listą w ręku, według której ustawiono na korytarzu około 50 osób i poprowadzono do więzienia po drugiej stronie ulicy, zwanej Okrągłakiem.

...areszt

Umieszczono nas w różnych celach. Mnie przypadła cela czteroosobowa, w której przebywało dwadzieścia osób. Do snu mogliśmy się ułożyć prawie jeden na drugim, leżąc ze względu na ciasnotę można było tylko na boku. Spaliśmy po dwóch na piętowych pryczach, po dwóch pod pryzkami i na podłodze. Otrzymywaliśmy jedzenie trzy razy dziennie – na śniadanie i kolację kawałek chleba i coś, co nazywało się herbatą, a na obiad miseczkę zupy i kawałek chleba.

Już po moim powrocie do domu matka opowiadała mi, że dowiedziała się, gdzie aresztowani zostali doprowadzeni. W dniu, w którym nas przyprowadzono do Okrągłaka, moja matka



przyszła do byłego budynku Województwa i prosiła oficera o zwolnienie mnie. Oficer, gdy usłyszał, ile mam lat – zaczął mnie szukać. Gdy wrócił, oświadczył, że nie może mnie zwolnić ponieważ przebywam już w Okrągłaku. Moja mama udała się tam zaraz, lecz spotkała się z odmową zwolnienia mnie.

Przez pierwsze dwa tygodnie często byliśmy przenoszeni z celi do celi, rotacja była ogromna. Jednak do momentu przyjazdu do Ciechanowa udało mi się przebywać z moim znajomym, panem Jasińskim. Podczas pobytu w areszcie często do cel zachodzili NKWD-owcy po łupy<sup>1</sup>. Prowadząc między sobą rozmowy, łudziliśmy się wzajemnie rychłym zwolnieniem. Były między nami osoby, które ostrzegały przed takim optymizmem. Tutaj pierwszy raz pojawiła się wizja wywózki na Sybir. Okazało się również, że jest między nami osoba, która już wcześniej była na Sybirze, jako niewolnik z wojska austriackiego w Czasie I wojny światowej. To on stanowczo wszystkim wmawiał, że aresztowanie nasze może skończyć się tylko w jeden sposób – zesłaniem. W atmosferze ciągłej niepewności, rosad i złudzeń minęły dwa tygodnie. Jednego dnia około północy obudzono nas wszystkich i zaczęto wyprowadzać więźniów na dziedzińiec. Ustawiono nas w kolumny marszowe po kilkadziesiąt osób. Otoczyli je NKWD-owcy z bagnietami na karabinach, trzymanymi w obu rękach i gotowymi do strzału. Kolumny wychodziły kolejno na ulice Piekary. Za każdą kolumną jechał samochód, który oświecał ją od tyłu. Idąc pod strażą, co kilka kroków jeden żołnierz z jednej i drugi z drugiej strony, szliśmy ulicami Chełmińską, Grudziądzką, Kościuszki, Chrobrego aż do rampy towaro-

<sup>1</sup> NKWD-owcy zabierali aresztowanym różne rzeczy. Najczęściej dochodziło do zamiany obuwia. Jeśli żołnierzowi przypadły jakieś buty do gustu, natychmiast przymierzał, po czym zabierał, a aresztantowi oddawał swoje zniszczone sapogi.

wej z tyłu Dworca Toruń Mokre<sup>2</sup>. Z rampy każda około stuosobowa kolumna wchodziła do jednego wagonu towarowego. W trakcie wsiadania poczuliśmy pod nogami coś miękkiego, a w nozdrza kłuł odór gnoju. Okazało się, że stoimy ciasno jeden przy drugim, po kostki w gnoju.

#### Toruń – Ciechanów

Pociąg ruszył, jechaliśmy cały dzień, noc i następnego dnia około południa wyładowano nas. Pociąg po drodze często się zatrzymywał, krócej i dłużej, nieraz po kilka godzin. W wagonie była jedna paleta, na której odpoczywało kilka osób na zmianę. Gdy przyszła noc, dorośli polecili mi położyć się na palecie i tak zasnąłem. Dano mi spać do samego rana. Okienka w wagonach nie były zabezpieczone, mieliśmy je otwarte przez cały czas podróży za względu na panujący odór. Przejeżdżając przez jedną stację kolejową, zaobserwowaliśmy dosłownie hałdy rozbitych samolotów. Najbardziej zdumiewało nas to, że między tymi wrakami tylko gdzieś tam były krzyże, prawie wszystkie miały gwiazdy.

W transporcie nie otrzymywaliśmy nic do jedzenia ani do picia. Po wyładowaniu zorientowaliśmy się, że jesteśmy w Ciechanowie. Poprowadzono nas ze stacji do dosyć nowego osiedla, gdzie stały domy dwupiętrowe. Domy te były przez Rosjan przeznaczone na przejściowe miejsca pobytu transportowanych więźniów. Cały transport umieszczono w jednym z takich domów. Ja razem z panem Jasińskim zostałem ulokowany w jednym z pokoi na pierwszym piętrze. Pokoje były uprzątnięte ze wszystkich mebli i spaliśmy na podłodze, ciasno jak śledzie, jeden przy drugim. W tym pokoju było nas około 60 osób. Tu otrzymywaliśmy przydział żywności w ilości dwóch wojskowych sucharów i jednej płaskiej łyżeczki cukru na osobę oraz jednej konserwy około kilogramowej na 60

<sup>2</sup> Mowa tutaj o dworcu kolejowym Toruń Wschodni.



osób. Raz dziennie wyprowadzano nas za potrzebą fizjologiczną na zewnątrz budynków. Tam ze stert puszek po konserwach każdy wybrał sobie jedną. W puszki te dostawaliśmy raz dziennie kipiatak<sup>3</sup> jeśli ktoś miał częstszą potrzebę, schodził do piwnicy i tam się załatwiał. Jednego razu, gdy zszedłem tam w wiadomym celu, zastałem trochę starszego ode mnie chłopca, który w puszcze gotował sobie łupiny od ziemniaków. Ustawił dwie cegły, na nich puszkę z łupinami, a pod nią miał rozpalony ogień.

Zatrzymałem się przy nim, patrząc łakomie na gotujące się łupiny. Gdy te dogotowały się, pobiegłem do góry po swoją puszkę i gdy chłopak miał zamiar wyłączyć wodę od łupin na ziemię, poprosiłem, aby wlał ją do mojej puszki. Zapytałem, skąd ma łupiny. Odpowiedział, że ktoś z obecnych dostał od jednego mieszkańca kilka ziemniaków i po oskrobaniu chciał łupiny wyrzucić – wtedy chłopiec o nie poprosił. Gdy woda z łupin trochę wystygła, wypilem ją. Smakowała mi jak najlepsza zupa w domu.

Już pod koniec pobytu w tym domu spotkałem mieszkańca Ukrainy, którego wcześniej mama przyjęła na mieszkanie z rodziną. Ten pan kazał mi przyjść do pomieszczenia, w którym przebywał. Okazało się, że jest to kuchnia, gdzie przebywa z nim kilku innych Ukraińców. Rosjanie wyznaczili ich do pobierania żywności na ten budynek. Z tego, co rozdzielili, zawsze coś zostawało. Przez kilka dni chodziłem do nich i dostawałem dwa dodatkowe suchary.

Podział konserwy, który odbywał się w obecności wszystkich obecnych w pokoju, był prawdziwą celebracją. Dzielono ją na 60 porcji, z których każda była wielkości paznokcia. Co kilka dni byliśmy wzywani przez oficera lub podoficera i spisywano nasze personalia. Tak

<sup>3</sup> Była to woda, gotowana w wannie kąpielowej na dworze przy jednym z budynków.

było przez cały czas pobytu w Ciechanowie. Potem, w Złatouście<sup>4</sup> to spisywanie też było kontynuowane, ale już nie tak często. Po około dwóch tygodniach zostaliśmy ponownie posegregowani i wymieszani. Tak się złożyło, że byłem nadal z panem Jasińskim. Wyprowadzono nas z zajmowanych budynków i doprowadzono do baraków, zupełnie podobnych do tych w Toruniu przy ulicy Targowej. Podobnie jak w budynkach, tak i tu, w baraku do pomieszczenia wprowadzono taką liczbę osób, że do spania leżeliśmy bardzo ciasno ułożeni na podłodze. Tu przebywaliśmy około jednego tygodnia. Przez dwie doby nie otrzymaliśmy nic do jedzenia i picia, nie wyprowadzono nas również za potrzebami fizjologicznymi. Jeden z obecnych w pomieszczeniu próbował załatwić potrzebę przez okno. Otrzymał cios kolbą karabinu w krocze i od tego momentu nikt więcej nie próbował tego zrobić. W tej sytuacji nie było wyjścia. Potrzeby swe załatwialiśmy do puszek, które służyły nam dotychczas za kubki do picia otrzymywanego kipiatak.

Po dwóch dobach otrzymaliśmy przydział sucharów i wyprowadzono nas za barak, gdzie wreszcie mogliśmy załatwić swoje potrzeby. Najpierw każdy z puszek wytrząsnął kał, a następnie własnym moczem ją wypłukał i zaraz poszliśmy po przydział kipiatak, wlewano do tych puszek, które przed chwilą pełniły rolę ubikacji. Po ponad tygodniowym okresie zostaliśmy ponownie przeprowadzeni do innego obozu, po jeńcach rosyjskich. Tu zostaliśmy ponownie wymieszani i rozlokowani w barakach, które były podzielone, każdy na dwa ogromne pomieszczenia. W każdym ulokowano po prawie 400 osób. Tu również spaliliśmy na podłodze, ciasno jeden przy drugim, rzędami – rząd pod ścianą głowami do ściany,

<sup>4</sup> Złatoust – miasto w Rosji przy linii kolejowej Ufa – Czeliabińsk, nad rzeką Aj, stanowiącą dorzecze Wołgi, odległe od Ciechanowa ok. 3 tys. km (przyj. red.).



następny rząd nogami do tego pod ścianą. Dalej kolejny rząd, głowami do poprzedniego i tak na przemian.

Tutaj miał miejsce tragiczny w skutkach wypadek. W sąsiednim przedziale baraku odkryto podczas kąpieli u jednego osobnika pod pachą znaki SS. Szereg osób tam przebywających, sami będąc w sytuacji nie do pozazdroszczenia, zaczęli znęcać się nad tym SS-manem, który pewnego wieczoru spróbował ucieczki. Pobiegł wzdłuż baraku, następnie skręcił i biegł przy jego szczycie. Barak nasz stał między innymi barakami, szczytem do płotu. Gdy ten SS-man zaczął biec wzdłuż szczytu, zauważył go wartownik i zaczął strzelać z M.P. Pierwszą serią nie trafił w zbiega, dopiero druga ścięła go z nóg. Ta pierwsza seria była skierowana bardzo nisko i poszła w nasz barak. To, co się działo w baraku po pierwszych odgłosach serii, było dla wszystkich szokiem. Ja widziałem iskry błyskawicznie biegnące nad głową. W chwili, kiedy padła ta seria, odmawialiśmy różaniec, będąc w różnych pozycjach. Ci przy ścianie – oparci, w pozycji siedzącej, a ci będący dalej – leżąc lub siedząc. Ja leżałem na podłodze. Krótco przed serią w barak, włączony w odmawianie różańca, uprzytomniłem sobie, że nigdy w domu nie odmawiałem modlitwy w pozycji leżącej. Postanowiłem przynajmniej usiąść, ale o dziwo nie mogłem tego uczynić. Nie mogłem się nawet poruszyć. Jakaś niewidzialna siła trzymała mnie w pozycji leżącej. Wtedy zobaczyłem błyskawicznie przemierzające się nad głową iskry i usłyszałem huk wystrzałów. Gdy strzały ucichły, ucisk, który odczuwałem, zelżał i mogłem się unieść. W baraku podniósł się krzyk rannych i wszystkich przerażonych tymi strzałami. Zapalono światło i okazało się, że jest dwóch zabitych i szereg osób ciężko i lżej rannych. Przy ścianie szczytowej siedziało dwóch braci, jeden z nich dostał w serce – kula przeszła na wylot. Następny

nieboszczyk to mój sąsiad w nogach, siedzący pod ścianą wzdłuż baraku. Pocisk trafił go pod lewym uchem i wyszedł górą czaszki. Mózg wyszedł na wierzch, jeszcze kilka razy westchnął i znieruchomiał. Mój sąsiad z prawej strony, który siedział lekko odchyłony do tyłu, opierając się na lewej ręce, był ranny w prawy bark, kula przeszła na wylot, a następny pocisk zranił lewą rękę. Pocisk prześlizgnął się po wewnętrznej stronie ręki w okolicy zgięcia w łokciu. Gdybym zrealizował mój zamiar zajęcia pozycji siedzącej, pocisk ten trafiłby we mnie na wysokości serca. Prawdopodobnie byłbym trzecim nieboszczykiem. Natychmiast zbiegli się sanitariusze i żołnierze z obsługi obozu. Opatrzyli rannych i zabrali ich do szpitala, a nieboszczyków wynieśli. Wszedł również wartownik, który strzelał, bardzo młodziutki żołnierz. Gdy zobaczył, co spowodowała jego pierwsza seria, zapłakał. Druga seria trafiła zbiega w plecy i wszystkie pociski przeszły przez jego korpus.

Potem, gdy już byliśmy w obozie w Złatouście, miałem kontakt z tymi, którzy bili tego SS-mana. Okazało się, że są to żołnierze AK, którzy brali udział w Powstaniu Warszawskim. Wszyscy byli wielokrotnie świadkami zbrodni, dokonywanych przez SS na ludziach, dlatego – gdy zorientowali się, że wśród nich jest SS-man – nie mogli się powstrzymać. Ta mściwość okazała się przyczyną całej tragedii.

Wkrótce zostaliśmy skierowani do bani<sup>5</sup>, gdzie mogliśmy się wykapać, a nasze rzeczy zostały poddane odwszawianiu. Po ubraniu się musieliśmy oddać nasze wierzchnie okrycia – płaszcze, kurtki itp. W zamian otrzymaliśmy niemieckie płaszcze wojskowe oraz płaszcze formacji SS i SA. Zaprowadzono nas na stację kolejową, gdzie stał pociąg.

*Kazimierz Zblewski*

<sup>5</sup> Bania – tak nazywano w języku rosyjskim łaźnię.



## RODZINA PIECHOWSKICH

Pod koniec XIX wieku Piechowscy nabyli majątki: Luberadź, Malużyn i Dziektarzewo. Zarządzali nimi do II wojny światowej. Pierwszym dziedzicem z rodu był Kajetan Celestyn Piechowski herbu Leliwa (1859–1931), syn Józefa i Krystyny ze Świątek z Rzewina. Był to działacz społeczny, poseł do II Dumy w Petersburgu, sędzia w zarządzie głównym Związku Ziemiaków w Warszawie i osoba szanowana przez miejscową ludność. Kajetan Piechowski był absolwentem Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach, przewodniczącym Koła Ziemiaków powiatu płońskiego oraz długoletnim prezesem rady nadzorczej Towarzystwa Ubezpieczeniowego *Snop*. Już w 1901 roku za swe rozliczne zasługi otrzymał honorowe członkostwo w Płockim Towarzystwie Rolniczym. W 1907 roku udzielił 5 tys. rubli długoterminowej pożyczki na zakup siedziby Towarzystwa Naukowego Płockiego.

Będąc znakomitym rolnikiem, Piechowski uczył lepszego gospodarowania rolników z oko-



Herb Leliwa

licznych miejscowości, w każdej potrzebie udzielał rady i pomocy. Dzięki jego wsparciu materialnemu kilku młodych chłopców mogło uczyć się w szkołach rolniczych w Pszczelinie i Sobieszynie. Wspierał finansowo szkoły

i placówki kulturalne, m.in. szkołę średnią dla dziewcząt i Gimnazjum im. Władysława Jagiełły w Płocku oraz znajdujący się tam Zakład Opiekuńczy *Stanisławówka*.

Jego żona, Aniela Petronela z Gniazdowskich Piechowska (1869–1938) była

również osobą wykształconą, znała biegle język francuski i niemiecki. Lubiła podróżować, kochała przyrodę. Posiadała uzdolnienia plastyczne i muzyczne. Była wzorem patriotyzmu. Uczyła czytania i pisania dzieci służby folwarcznej oraz z pobliskich wsi. Utrzymywała ochronkę dla dzieci, by matki, pracując, nie musiały pozostawiać ich bez opieki. Oboje małżonkowie Piechoccy nie szczędzili trudu i pieniędzy, pracując nad szerzeniem oświaty. Posiadali olbrzymią bibliotekę i chętnie wypożyczali książki.

W czasie zimowych wieczorów, a w niedziele i święta również w ciągu dnia, zebrane dzieci ze wsi słuchały głośnego czytania. W Luberadzu w zbiorach bibliotecznych znajdowały się dzieła Sienkiewicza, Mickiewicza i Słowackiego, Kraszewskiego, utwory



Kajetan Piechowski  
w II Dumie



Kajetan Piechowski,  
Dziektarzewo





*Posłowie do II Dumy z Królestwa Polskiego*

Rodziejczówny, Orzeszkowej i Konopnickiej, także Wiktora Hugo, Dickensa i wielu innych wielkich pisarzy.

W rozpowszechnianiu czytelnictwa na wsi pomagał ówczesny proboszcz parafii Malużyn ks. Julian Biały, który prenumerował i udostępniał popularne wówczas czasopisma – tygodniki *Gazeta Świąteczna*, *Zorza* oraz inne tytuły. Po 1905 roku czytelnictwo na wsi rozwijało się coraz lepiej. Zwiększała się ilość czytającej młodzieży. Gdy Leon Piechna, jeden z młodych czytelników, chciał podziękować za możliwość korzystania ze zbiorów księgozbioru, usłyszał od pani Anieli: *Podziękowaniem dla mnie będzie, jeżeli będziesz się starał mnie naśladować i będziesz uczył innych, a przede wszystkim, byś mógł kochać Polskę i w razie potrzeby nawet cierpieć za Ojczyznę*. Czas pokazał, że wypełnił przesłanie wspaniałej kobiety. W okresie międzywojennym Piechna był starszym przodownikiem w komendzie powiatowej policji w Ciechanowie, a później w posterunku w Głinojecku, podczas okupacji był żołnierzem AK, pomagał Żydom w getcie w Płońsku, za działalność

konspiracyjną aresztowany przez Niemców, zmarł w więzieniu.

Aniela Piechowska w razie potrzeby udzielała bezinteresownie pomocy sanitarnej i medycznej mieszkańcom Luberadza. Kiedy w jednej z sąsiednich wsi wybuchł wielki pożar, który zniszczył kilkanaście gospodarstw, a kilkoro dzieci uległo poparzeniu, udzieliła pogorzelcom nie tylko natychmiastowej pomocy materialnej, ale sama opiekowała się poparzonymi, sprowadziła lekarza i umieściła potrzebujących na własny koszt w szpitalu.

Relacje między dworem a mieszkańcami wsi zawsze były bardzo dobre. Zatrudnieni w majątku Luberadz mieli wygodne, duże mieszkania z ogródkami. Piechowski założył szkołę dla dzieci wiejskich, którą sam utrzymywał. Już przed I wojną światową Kajetan wybudował duży budynek murowany z przeznaczeniem na szkołę siedmioklasową. Była to pierwsza szkoła w tej okolicy, która do nauki miała własny, odpowiednio przystosowany budynek. Za czasów Kajetana równie dobrze wiodło się wszystkim w Malużynie. Dziedzic czerpał zyski



ze sprzedaży torfu, miał dochody z osady młynarskiej i młyna wodnego znajdującego się na rzece Wkrze, cegielni, gorzelnii, dużego lasu i tartaku.

Na początku wieku XX Piechowski zaczął rozbudzać dążenia wolnościowe i narodowe wśród okolicznych mieszkańców. W Malużynie wspólnie z miejscowymi działaczami społecznymi zorganizował pochody z orkiestrą i sztandarami do pamiątkowego krzyża dębowego na pograniczu wsi Luberadź i Malużyna (krzyż ten od powstania styczniowego stoi do dziś). Przy krzyżu wygłoszono przemówienia nawiązujące do praw wolnościowych, w których m.in. domagano się wprowadzenia języka polskiego do szkół oraz urzędów. Działania te, pochody ze sztandarami z orłem białym, pieśni dotychczas zabronione i przemówienia patriotyczne przyczyniły się do ożywienia ruchu narodowego po latach długoletniego ucisku i niewoli. Także uczniowie szkoły w Malużynie

protestowali w czasie strajków 1905 roku przeciwko nauczaniu w języku rosyjskim, żądając nauki w języku ojczystym i korzystania z polskich podręczników. Taki pochód zorganizował Piechowski także w drugim swoim majątku, w Dziektarzewie – doprowadzony do krzyża na mogile zbiorowej poległych powstańców w 1864 roku pod Rybitwami. Wydawało się wtedy, że zbliża się chwila rozluźnienia panującego w kraju ucisku. Niestety, kilku z uczestników manifestacji spędziło później wiele miesięcy w carskim więzieniu.

Małżonkowie Piechowscy mieli dwóch synów, Karola Józefa i Jana Marcina. W 1916 roku Kajetan przekazał im majątki – Karolowi Luberadź, Janowi – Malużyn. W latach 1905-1931 Aniela i Kajetan mieszkali w drewnianym dworze w Dziektarzewie. Dworek i park z drugiej połowy XIX wieku zaprojektowany został przez znanego warszawskiego ogrodnika Franciszka Szaniora, który założył m.in. Park



Grób K. Piechowskiego, Dziektarzewo



Krzyż na pograniczu Luberadza i Malużyna





Fot. Paweł Jan Wiśniewski



Dwór w Malużynie, rys. P. Wiśniewski



Dwór w Malużynie, rys. P. Wiśniewski



Fot. Paweł Jan Wiśniewski

Dwór w Dziektarzewie, 2016 r.

Ujazdowski i Skaryszewski oraz przekształcił Park Saski. Majątek dziektarzewski miał 322 hektary powierzchni i uchodził za najlepszy w okolicy. Dzięki urodzajnej ziemi, dobrej gospodarce i wysokim plonom dawał największy dochód. Na drugim miejscu pod względem korzyści ekonomicznych była gorzelnia w Luberadzu, na trzecim las i młyn w Malużynie oraz inne poczynania gospodarcze.

Po śmierci Kajetana Piechowskiego książdz Ignacy Lasocki, jego przyjaciel od lat dziecięcych, wydał drukiem memoriał poświęcony jego pamięci. Pisał: *Mądrze dobry Kajetan Piechowski w długim swym 72 letnim żywocie zawsze i wszędzie, niezwykle hojnie, a cicho... dawał, dawał i dawał na wszelki cel poczywowy... a dobry pan Józef był rodzicem Kajetana – a jaki ojciec, taki syn... matką była dobra p. Krystyna z rodu Święckich... takim i był syn drugi – pan Jan z Kolczyna... „wyzyskiwaliśmy” go (szczęście, że kawalera) wszyscy... Kochany mój druhu całoczyciowy... zostawiłeś Ojczyźnie, w czynie przez siebie ukochanej i nam współbraciom, i ukochanym: Żonie „przyjacielowi” i synom Karolowi i Jankowi, i pięciu wnuczkom tak drogim – spuściznę wielką, moralną, wzoru człeka niezwykle mądrego, dobrego i grzecznego... Według różnych źródeł, Aniela i Kajetan spoczywają w rodzinnym grobie na cmentarzu parafialnym w Dziektarzewie.*





*Pałac w Lubieradzu, 2020 r.*

Na mogile widnieje tylko informacja, że spoczywa tam Kajetan Piechowski.

Ostatnimi właścicielami Dziektarzewa do wybuchu II wojny światowej byli bracia Piechowscy. Urodzeni w Dziektarzewie, kształcili się w Szwajcarii i skończyli gimnazjum we Fryburgu. Karol Józef (1888–1974) studiował następnie rolnictwo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Interesowało go jednak wiele dziedzin: historia, sztuka i architektura. Miał bogatą bibliotekę i dużą kolekcję białej broni. Brał udział w wojnie obronnej w 1920 roku. Za jego czasów powierzchnia majątku w Lubieradzu wynosiła 1500 ha. Dobra prowadził wzorowo, jednak II wojna światowa doprowadziła wszystko do upadku. Podczas okupacji Niemcy zajęli dwór i kościół. Po wyzwoleniu majątek został rozparcelowany, zabudowania zdewastowane, młyn kompletnie zniszczony. Drewniany dwór wraz z murowaną przybudówką przeznaczono na szkołę podstawową.

W latach 90. XX wieku przybudówkę przebudowano na nowy, murowany barak szkolny. Obecnie nie ma śladu po dworze, został całkowicie rozebrany w 2017 roku.

Jan (1889-1964) był również doskonale wykształconym rolnikiem – ukończył studia agronomiczne w Puławach i Lozannie, był działaczem społecznym i wielkim patriotą. W swoim majątku w Malużynie wybudował murowaną szkołę. Fundował stypendia, sprowadzał dzieci z Prus na kolonie letnie. Dla swoich pracowników i sąsiadów był wsparciem i nadzieją w najtrudniejszych chwilach. Malużyn zawsze należał do miejscowości największych w gminie Młock (obecnie gmina Gliniojeck). Obejmował dwór, folwark oraz wieś włościańską. Mieszkało tu wielu rzemieślników. W 1917 roku Malużyn stał się na krótko siedzibą gminy. 16 lutego 1919 roku swoją działalność rozpoczęło tu Stowarzyszenie *Zgoda*, które zrzeszało aż 60 członków. W ramach tej organizacji był





*Kościół w Dziektarzewie*

prowadzony sklep w Malużynie. Stowarzyszenie zajmowało się także wspieraniem mieszkańców oraz różnych narodowych i gospodarczych inicjatyw, takich jak plebiscyt na Mazurach czy budowa polskiej floty. Na koniec roku liczba udziałowców *Zgody* wynosiła już 92 członków, a kapitał udziałowy wyniósł 10 950 marek. Zarząd Stowarzyszenia tworzyli: Jan Piechowski, ks. Czesław Konarzewski, J. Mikołajewski, W. Lewandowski, F. Gordom, a w komisji rewizyjnej byli A. Radkowski i Franciszek Werner - późniejszy wójt gminy Młock.

Podczas wojny 1920 roku bolszewickie wojska, przeprawiając się w pobliżu Malużyna przez Wkrę, napotkały polskie oddziały. Walki toczyły się nad rzeką i przy lasku zwanym *Bartnica*. W tym samym miejscu



*Publikacja o Piechowskim*

stoczono bitwę podczas powstania listopadowego. Jest to miejsce do dzisiaj nieupamiętnione żadnym obeliskiem czy choćby tablicą informacyjną. Zginęło tutaj wielu



*Kościół w Malużynie*

żołnierzy polskich i sowieckich. Większość bolszewickich żołnierzy pochowano w lasku. Polscy żołnierze spoczywają na malużyńskim cmentarzu.

*Katarzyna Wiśniewska*

Źródła i zdjęcia glinojeck.info

#### Źródła:

Tradycja Mazowska, powiat płoński Przewodnik subiektywny – Mazowieckie Centrum Kultury i Sztuki Lokalna Grupa Działania – Przyjazne Mazowsze, Agencja Wydawnicza Egros, Warszawa 2012.

Aleja starych grabów, Jerzy Piechowski, Głos 1991. Gazeta Rolnicza nr 3, Warszawa 15.01.1932.

Dwory i pałace wiejskie na Mazowszu. P. Libicki, M. Libicki, Rebis, Poznań 2014.

Tomasz Antoni von Piechowski, Studium z dziejów kaszubskiej rodziny Piechowskich, 2000.

Wspomnienia Leona Piechny.

Pamięci Kajetana Piechowskiego Nadzwyczajnego Ziemianina Płockiego Mazowsza, X, Ignacy Lasocki, 1931.

Studium z dziejów kaszubskiej rodziny Piechowskich, Tomasz Zuroch-Piechowski, pomeranus@wp.pl.

Zeszyty Chojnickie Nr 36, pod redakcją Kazimierza Jaruszewskiego i Bogdana Kuffla, Chojnickie Towarzystwo Przyjaciół Nauk 2020.

Portal społecznościowy miłośników polskich zabytków, Mariusz Mysiakowski, 2012.

Historia – Malużyn - opracowanie Rafał Dąmbrowski, <http://wolamlocka.pl/historia-maluzyn/>.

[https://www.antykwariat.waw.pl/ksiazka,1046396/czeslaw\\_brzoza\\_kamilstepan\\_poslowie\\_polscy\\_w\\_parlamencie\\_rosyjskim\\_1906\\_1917\\_sownik\\_biograficzny,473633.html](https://www.antykwariat.waw.pl/ksiazka,1046396/czeslaw_brzoza_kamilstepan_poslowie_polscy_w_parlamencie_rosyjskim_1906_1917_sownik_biograficzny,473633.html)



## O WIELKIM POŚCIE I KATOLIKU W ŚMIETANIE

Wielki Post to dla chrześcijan czas refleksji nad swoim życiem, czas nawrócenia i pokuty. Odnowie duchowej służyć mają rekolekcje, modlitwa, post i jałmużna. W czasie Wielkiego Postu nie urządza się wesel i zabaw hucznych, milknie wesoła muzyka i także pieśni. W przeszłości obowiązywały bardzo surowe posty - nie spożywano mięsa, żadnych tłuszczów zwierzęcych, nawet jajek i nabiału. Z czasem przepisy kościelne ulegały liberalizacji, ale bardziej konserwatywna część ludności pozostawała wierna starym nakazom.

W czasie Wielkiego Postu w kościołach odprawiane są dwa nabożeństwa o charakterze pasyjnym: *Droga Krzyżowa* i *Gorzkie Żale*. *Droga Krzyżowa* ma charakter adoracyjny, odprawiana w każdy piątek Wielkiego Postu polega na symbolicznym odtwarzaniu drogi Chrystusa na Golgotę, Jego śmierci i złożeniu do grobu. Tradycja odprawiania tego nabożeństwa pochodzi z Jerozolimy, a w kościele katolickim spopularyzowali ją franciszkanie. *Gorzkie Żale* są odprawiane jedynie w naszym kraju. Ich ojcem jest ks. Wawrzyniec Stanisław



Popielec, Opinogóra 2020 r.





Popielec, parafia św. Piotra, Ciechanów 2010 r.

Benik, zakonnik ze zgromadzenia misjonarzy św. Wincentego a Paulo. Nabożeństwo to zostało zapoczątkowane około 1707 roku w kościele św. Krzyża w Warszawie. W diecezji płockiej *Gorzkie Żale* zostały odśpiewane po raz pierwszy ... w Mławie, prawdopodobnie w 1713 roku, bowiem proboszczem w tamtejszej farze był wówczas ks. Benik. Na przełomie XVIII/XIX stulecia *Gorzkie Żale* były już śpiewane w wielu parafiach płockiej diecezji.

Wielki Post rozpoczyna Popielec, wypadający zawsze w środę, nazywaną w dawnej Polsce Wstępną Środą. Jest to dzień ścisłego postu. Podczas nabożeństw w kościołach kapłani posypują głowy wiernych popiołem na znak pokuty. W trakcie obrzędu ksiądz wypowiada znamiennej formułę: *Pamiętaj, że prochem jesteś i w proch się obrócisz*. Popiół używany do posypywania głów pochodzi ze spalonych starych palem wielkanocnych. Wśród parafian,

a zwłaszcza dzieci, panowało w przeszłości przekonanie, że ksiądz używa w tym celu prochu pochodzącego z kości ludzkich wykopanych na cmentarzu.

W minionych stuleciach obrzęd posypywania głów popiołem odbywał się w polskich kościołach dwukrotnie, w Środę Popielcową i następnego dnia lub w piątek, a nawet w niedzielę. Na wsi Popielec nie zawsze był dniem smutku. Po szaleństwach ostatkowych ludzie byli jeszcze rozbrykani i swawolili nadal, niewiele sobie robiąc z napominań kleru. Żarty kończyły się ostatecznie w piątek, dlatego ksiądz jeszcze raz sypał popiół na głowy, aby w religijnym obrzędzie uczestniczyli także ci parafianie, którzy brali udział w przeciągających się swawolach. Wspomina o tym ksiądz Kitowicz: *Na ten Popielec zjeżdżali się i schodzili do kościołów wszyscy katolickiego wyznania, panowie nawet najwięksi nigdy go nie opuścili*.





Popielec, Ciemnowko 2022 r.

Ale że nie wszyscy byli sposobni w Wstępną Środę do przyjęcia tego obrządku, przeto dawano go drugi raz po kościołach, mianowicie po wsiach, w pierwszą niedzielę postu. Taka zaś była jeszcze pobożność Polaków pod panowaniem Augusta III w latach początkowych, że nawet chorzy, nie mogący dla słabości przyjąć Popielca w kościele, prosili o niego, aby był im dany w łóżku... Ale nie fatygując księży, swawolna młodzież rozdawała go sobie sama, trzepiąc się po głowach workami popiołem napełnionymi, albo też wysypując zdradą jedni drugim obojej płci na głowy pełne miski popiołów. Ta jednak swawola nie praktykowała się po wielkich domach, tylko po małych szlacheckich i po miastach między pospólstwem<sup>1</sup>.

W obrzędowości ludowej Popielec był dniem zabiegów magicznych, dokonywanych jeszcze w atmosferze zabawowej, a mających na celu

<sup>1</sup> Kitowicz J., *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Wrocław 1970, s. 540.

stymulowanie płodności i urodzaju. Domownicy musieli mieć baczenie na dom, aby żartowniś nie wrzucił do izby starego garnka z popiołem. Chmura popiołu wypełniała wtedy na moment mieszkanie, a później osiadała na ścianach, sprzętach i pościeli, co wymagało od kobiet uciążliwego sprzątanía. Chłopcy i dziewczęta biegali po wsi, okładając się wzajemnie pytami. Miała to być kara za to, że w karnawale nie zawarli małżeństw i nie wyprawili wesel. „Gazeta Świąteczna” (1882/13) donosiła: *W okolicy Wyszogrodu, jak i w wielu innych stronach kraju naszego jest zwyczaj, że młodzież wiejska w dzień popielcowy chodzi od chatupy do chatupy z tak zwanymi pytami. Pyty urządzają się z pończochy lub z umyślnie uszytej torebki, do której nasypują popiołu, a czasem jeszcze wkładają kamyk. Takimi pytami dziewczęta uderzają chłopaków, mówiąc: „czemuś się nie ożenił” – a chłopaki biją dziewczęta ze słowami: „czemuś nie wyszła za mąż”.*





Wielki Post, Opinogóra 2019 r.

Młodzież obojga płci, która w minionym karnawale nie wstąpiła w związki małżeńskie (a w opinii społecznej już powinna), była zmuszana w Popielec do ciągnięcia przez wieś kłody drzewnej i do wykupu w karczmie. U schyłku XIX stulecia z tym starym, zanikającym już wówczas zwyczajem zetknął się jeszcze na Mazowszu Z. Gloger, który pisze: *...wesola gromada wiejska wciąga duży kłoc do mieszkania kawalerów i panien i zabiera go dopiero po otrzymanym wykupie. Kłoc ten lub pień wciągają wreszcie do karczmy i póty leją nań wodę, dopóki karczmarz nie wykupi się gorzałką*<sup>2</sup>. Na Mazowszu północno-zachodnim zwyczaj ten został już dawno zapomniany, ale w okolicach Przasnysza i Ciechanowa przetrwały do chwili obecnej przyśpiewki, towarzyszące wykupowi i popielcowym zabawom w karczmie:

Czemużeś się nie ożenił Bajtała?

- Bo mnie żadna piękna panna nie chciała.

Czemużeś się nie ożenił z młodych lat?

- A teraz cię panny nie chcą, boś ty dziad.

\*

Czemużeś się nie ożenił Bartoszu

Kiedy była kwarta piwa po groszu?

A teraz jest kwarta piwa po cztery

Nie będą cię panny chciały boś stary.

Dawnym zwyczajem popielcowym były *klocki* (kloce). Tak nazywano różne przedmioty przypinane z tyłu do odzieży przechodniom na ulicy czy ludziom wchodzącym i wychodzącym z kościołów. Klockami były drobiowe łapki i łebki, objedzone szkielety śledzi i innych ryb, kawałki flaków, wydmuszki jajek, szmaty lub karteczki z dowcipnymi, niekiedy złośliwymi napisami. Zwyczaj przypinania klocków bardziej popularny był w mieście niż na wsi. „Kurier

<sup>2</sup> Gloger Z., *Rok polski w życiu tradycji i pieśni*, Warszawa 1900, s. 112.



Warszawski” (1856/66) donosił: *Niejeden wczoraj dobrze się oglądał po-za siebie wyszedłszy na ulicę, aby nie paść ofiarą odwiecznego zwyczaju, jakim jest przypinanie w Środę Popielcową klocków, niby resztek z dni szalu i pustot, które z onegdajszym Wtorkiem ukończone zostały. W tej rozmaitości kurzych łapek, girland ze skorup od jaj, indycznych głów i.t.p., nie małą także rolę odgrywała i poezja, przedstawiona w przyczepionych do klocka wierszach, jak np:*

Już ci Twoje wdzięki więcej nie usłużą;  
Nie chciałeś mej ręki, weź że łapkę kurzą.

\*

Hulałeś do sytu wśród uciech i szalu;  
Dziś więc dla zaszczytu, z resztek karnawału,  
Dźwigaj drogie szczątki, twych biesiad  
pamiętki.

W latach międzywojennych przypinanie klocków było praktykowane także w niektórych wiejskich parafiach. Mieszkaniec jednej z podpłockich wsi wspominał: *W Popielec to się ludzium przypinało frakuty i różne fafory, tak żeby nie widzieli, to wtedy była większa uciecha. Najwięcy to przed kościołem po mszy. Taki jeden babie, co nosa zadziarała, to przypieni roz do dupy czerwuny fafur i lazła z tem łogunem bez cały kościół, to dopiru było śmichu! Ksiundz nie widziol, bo by morde wyder i powiedziol paternoster. W Zielonej Ciechanowskiej w czasie zabaw ostatkowych i w Popielec przed kościołem były przypinane karteczki ze śmiesznymi napisami. Adresatami byli w szczególności starzy kawalerowie. Napisy na karteczkach nie były zbyt wytworne, a dotyczyły wad i narowów adresatów oraz popełnionych przez nich głupstw.*

W Wielkim Poście nie można urządzać potańcówek i zabaw z muzyką. W różnych regionach, także na Mazowszu – znany był niegdyś zwyczaj uśmiercania grajka w Środę Popielcową. Tak zarejestrował go O. Kolberg:



Pieta, Opinogóra 2021 r.

*We Wstępną Środę dziewczki co się nie pożeniły (nie wyszły za mąż) obwożą grajka (skrzypka) po wsi, zaprzęgając się w miejsce koni do sanek. Przywożą go w ten sposób do dworu, do pana; tam bywają wraz z grajkiem ugoszczone i ucztowane, a grajek ów im jeszcze przygrywa. Poczem znów odwożą go do karczmy, gdzie go mają spalić lub powiesić. W tym celu obwiązują mu lekko ramiona i golenie, i słomę tę zapalają tak, aby grajek miał jeszcze czas ją odrzucić, lub też biorą powróż, zakładają mu takowy na szyję i udają jakoby go wieszali do powały; pozostawiając wszakże stołek pod nogami, ułatwiają mu wyswobodzenie<sup>3</sup>.*

Zapomnianym zwyczajem popielcowym są niegdyś powszechne tańce obrzędowe kobiet na wysoki len i konopie, a mężczyzn na wysoki owies. W latach międzywojennych było to jeszcze kulturowane w niektórych żuromińskich wsiach.

<sup>3</sup> Kolberg O., *Dzieła wszystkie*, t. 27., *Mazowsze cz. 4*, Wrocław 1964, s. 123-124.





Stacja drogi krzyżowej,  
kościół św. Mikołaja w Sulerzyżu



Droga krzyżowa w plenerze, Sikórz 2017 r.

Na wysoki len tańczyły tam kobiety i mężczyźni. Najczęściej były to polki i oberki, w czasie których tańczące pary przyskaby (wyskakiwały) jak najwyżej w górę lub zadzierały ku górze nogi. W tej samej intencji huściano kobiety i podrzucano je

do góry, w innych wsiach tancerze wskakiwali na ławy, tupali, starali się dosięgnąć sufitu itp. Co i raz przy tym zachęcano się okrzykami: na wysoki, wielgi lyn! W niektórych wsiach tańczono także na urodzaj zbóż i ziemniaków, mężczyźni zaś na tabakę<sup>4</sup>.

W latach międzywojennych miały miejsce popielcowe wykupy. Podlegały im młode kobiety, które wyszły za mąż po zakończeniu ubiegłorocznego karnawału. Grupa gospodyń zbierała się w Popielec w określonym miejscu i czasie, dzierżąc w dłoniach pończochy albo torby wypełnione popiołem. Miały z sobą saniki, półwózek (przednia część wozu z dyszlem) lub inny śmieszny pojazd. Udawały się pod dom pierwszej młodej mężatki i wiozły ją na ciągnionym przez siebie środku transportu do domu następnej, niewykupionej jeszcze mężatki. Przed opuszczeniem „pojazdu” kobieta winna była uścić wykup w formie pieniężnej. Pończochy i torby napełnione popiołem służyły niewiastom do okładania wszystkich napotkanych mężczyzn, a zwłaszcza mężów kobiet podlegających wykupowi. Po obejściu całej wsi gospodynie wyprawiły postny bal, bez muzyki i tańców, w którym uczestniczyły także wykupione mężatki z mężami. Posiłek w czasie tego spotkania składał się ze śledzi, chleba, wódki i herbaty z cukrem. Na zakończenie biesiady uczestnicy obrzucali się łebkami śledzi, a żony kręgosłupami ryb nacierały brody mężów niby goląc ich, żeby z racji Popielca ździebko pocierpieli. Przy tej zabawie trzeba było uważać, aby nie skaleczyć się ością, gdyż te rany nie zagoiłyby się przez cały rok<sup>5</sup>.

W czwartą kolejną środę wypada połowa Wielkiego Postu, czyli półpoście. W tym dniu prastary zwyczaj nakazywał rozbijać gliniane garnki wypełnione popiołem o drzwi domów,

<sup>4</sup> Baraniuk T., *Prześmiewanie świata. O przebierańcach zapustnych na północno-zachodnim Mazowszu*, Warszawa 1999, s. 21.

<sup>5</sup> Baraniuk T., *op. cit.*, s. 102-105.





*Msza wielkopostna, parafia św. Piotra, Ciechanów 2010 r.*



*Droga krzyżowa, parafia św. Piotra, Ciechanów 2013 r.*





Śledzie w zalewie octowej



Oszukany śledź

co nazywano *wybijaniem półpościa* lub *biciem półpościa*. Naczynia te rozbijali najczęściej chłopcy, ale w psotach gustowali także starsi mężczyźni. Kiedy zabrakło glinianych garnków, bo najzwyczajniej w świecie wyszły z użycia, młodzież wybijała półpoście, waląc kamieniami w drzwi. Jeden z mieszkańców Dzbonia wspominał niedawno, jak w młodości psocił się wujowi, człowiekowi nader krewkiemu. Młodzian zgromadziwszy zawczasu kupkę kamieni, rzucał nimi z ukrycia co jakiś czas w drzwi wujowej chałupy. Kiedy kamień robił hałas, wuj wypadał z chałupy, wrzeszcząc i złorzecząc psotnikowi, zapowiadając wymyślne sposoby ukarania. Zabawa kończyła się, kiedy zabrakło „amunicji”. Wybijanie półpościa polegało także na okładaniu kogoś zniecka kułakiem po plecach, najlepiej niespodziewanie, czemu towarzyszyły okrzyki: *półpoście, półpoście!* Młodzież, biegając po drogach – identycznie jak w Popielec – okładała się wzajemnie pończochami i rękawami koszul napełnionymi popiołem. W ferworze zabawy niejednokrotnie obrywał po plecach lub głowie również przypadkowy przechodzień.

Nieceniony ksiądz J. Kitowicz tak pisze o popielcowych swawolach: *Druga ceremonia – nie kościelna, lecz światowa z popiołem była długo w używaniu po miastach i po wsiach, która zawisła*

*na tym, że jakiś mlókos przed przechodzącą lub tuż za przechodzącą niewiastą, albo jaka dziewczka przed lub za przechodzącym mężczyzną rzuciła na ziemię garnek popiołem suchym napełniony, trafiając pociskiem tak blisko osoby, że popiół z garnka rozbitego wzniesiony w powietrze musiał ją obsypać albo obkurzyć. Co zrobiwszy, swawolnica lub swawolnik, zawoławszy: „półpoście Mości panie” lub „Mościa pani”, albo „panno”, uciekał; że zaś nie każdy mógł znieść cierpliwie taki ceremonial, sukni i oczom szkodliwy ... trafiało się, że stąd wynikały zwady i bitwy* <sup>6</sup>.

W noc poprzedzającą półpoście młodzież płała figle, podobnie jak w noc sylwestrową. Do najpopularniejszych psot należało zatykanie kominów chałup grochowinami, zmierzwioną słomą, szmatą lub kawałkiem szyby, aby gospodyni nie mogła rankiem rozpałcić ognia pod płytą kuchenną. Ulubioną zabawą chłopaków było wpuszczanie ukradkiem do izby wróbli. Ptaków tych mnóstwo gnieździło się w słomianych poszyciach dachów, skąd psotnicy bez trudu mogli je wyciągać. Wróble fruwały po izbie jak oszalałe, rwały papierowe firanki w oknach, przewracały drobiazgi na półkach, czasami stłukły szkło naftowej lampy, siejąc popłoch wśród kobiet. Podobnie jak w noc

<sup>6</sup> Kitowicz J., *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Warszawa 1970, s. 540-541.





Śledzie gajowego



Śledź w śmietanie w wykonaniu A. Rolbieckiego

sylwestrową, chłopcy malowali okna w domach dziewczyn, kradli furtki i bramy wjazdowe do zagród. Chowali je w różnych miejscach tak, aby właściciel długo szukał swojej własności. Szczególnym zainteresowaniem psotników cieszyły się sławojki, czyli drewniane ustępy, które w krajobrazie wiejskim pojawiły się dopiero w latach trzydziestych ub. stulecia. Zdarzało się, że w sobie tylko wiadomy sposób dowcipnie potrafili wykraść ustęp z obejścia i wyciągnąć w pole lub ustawić w takim miejscu, aby raniem widziała go dobrze cała wieś - ku rozpaczyci właściciela, który wśród śmiechu sąsiadów starał się jak najszybciej przetransportować wychodek z powrotem. Mieszkanca pewnej podciechanowskiej wsi wspomina: *U nas we wsi to jeden taki Staś był, taki trochę nieszczęśliwy. I któregoś roku siedział w nocy w środku i pilnował tego swojego sracza, żeby mu chłopaki nie wykradli. Chłopaki przyszli i chcieli sracz przewrócić, a on na nich zaczął wrzeszczyć, to się sami wystraszyli i uciekli. To potem cała wieś się śmiała, że u Stasia w sraczu nocami coś straszy.*

Nie mniejszy kłopot przynosił gospodarzowi widok własnego wozu, stojącego na dachu stodoły lub półwózka wetkniętego w komin chałupy. Pośmiewisko było na całą wieś, gapiów i komentatorów wydarzenia przybywało, a nikt raczej nie kwapił się z pomocą, aby cenny sprzęt

zjąć bez uszkodzenia na ziemię. Gospodarz, wyrzyczawszy wielokroć wszystkie znane sobie przekleństwa pod adresem sprawców, przystępował do zdjęcia wozu z domownikami lub ochotnikami, którym obiecał za pomoc wykup w postaci gorzałki.

W przeszłości przywiązywano zdecydowanie większe znaczenie do przestrzegania postów niż obecnie. Wraz z nastaniem Wielkiego Postu gospodynie starannie szorowały garnki, aby nawet odrobina tłuszczu zwierzęcego nie przedostała się do postnego jedzenia. Ludowe porzekadło głosiło: *Garki w poście tłuszczu nie oglundaty* (Szulmierz, Trzcianka, Targonie, Kownaty). Zwyczaj tłuczenia glinianych garnków w Popielec, a zwłaszcza w półpoście miał przypominać, że w drugiej połowie Wielkiego Postu należy jeść z suchotami (*suszyć*), tzn. bez gotowanych potraw, jeść tylko suche pożywienie. W takiej sytuacji garnki do gotowania stawały się zbyt ciężkie. Później bez problemu można było kupić nowe, bowiem naczynia gliniane były tanie i powszechnie dostępne.

Chłopi i zagonowa szlachta jadała w Wielkim Poście takie same potrawy, jak we wszystkie pozostałe dni postne w okresie jesienno-zimowym. Na szczególną uwagę w jadłospisie wiejskim zasługują śledzie, na Mazowszu nazywane także *katolikami*. Nazwa ta była szczególnie popularna





*Rolmops z kartoflami i musztardą*



*Śledź literatów*



*Rolmops z chlebem*



*Śledź z szykanami*

w robotniczym środowisku Warszawy, gdzie śledź stanowił kultową wręcz zakąskę do kieliszka czystej wódki. Wpadało się do baru na *mikadkę pod katolika*, czyli 50. czystej wódki pod kawałek marynowanego śledzia. Na wsi przyrządzano te ryby najczęściej w kwaśnej zalewie. Wymoczone i pokrojone dzwonka zalewano marynatą z kwasu kapuścianego lub z wody zakwaszonej octem, doprawionej pieprzem, czasami także zielem angielskim i liściem bobkowym. Zalewa zagotowywana była z drobno posiekaną cebulą. Smak potrawy podnosiła dodana śmietana. Dobrze znane dziś i lubiane śledzie w oliwie, śledzie gajowego, pod pierzynką i inne potrawy śledziowe zyskały na wsi popularność dopiero w ostatnich dziesięcioleciach. Biedniejsze gospodynie, nie mając nawet śledzi, przyrządzały czasami na postny posiłek samą kwaśną polewkę, nazywaną

*oszukiwanym śledziem, fałszywym śledziem, kwasem, kwaśną lub pieprzną wodą.*

Solone śledzie kupowane prosto z beczki posiadały ikrę lub mlecz, uchodzące za przysmaki. Ikrę, czyli śledziowy kawior, zjadały najczęściej dzieci jeszcze w trakcie sprawiania ryb, z mleczka natomiast przyrządzały gospodynie rodzaj cenionego sosu. Wszystkie potrawy śledziowe jadało się z chlebem lub gotowanymi kartoflami, obieranymi lub w mundurkach. Nie brakowało również amatorów – zwłaszcza wśród mężczyzn – śledzi słonych, wyjętych prosto z beczki, sztywnych od soli. Takiego śledzia, otrzepanego jedynie o cholewę buta, jadano najczęściej w charakterze zakąski do wódki, pitej w czasie targu.

W okolicach Ciechanowa (Śmiecin, Kownaty Zendowe, Nużewko) znana była postna potrawa pod nazwą *rosół z wścieklej kury*.



Gotowano ją z takich samych składników jak każdy inny rosół, z wyjątkiem mięsa - bo jak tłumaczono, kura się wściekła i uciekła. Jadano powszechnie w Wielkim Poście zacierki z kartoflami, gotowane na mleku lub na wodzie, czasami z dodatkiem kaszy, okraszone olejem. Zacierki na wodzie wzbogacano smakowo dodatkiem kiszanej kapusty bądź kiszonych grzybów. Jadano kiszoną kapustę gotowaną w formie kapuśniaków, na gęsto z kaszą, z grzybami lub grochem. Za szczególnie sycące danie uchodziła kasza jaglana z zacierkami, gotowana na mleku. Powszechne były zupy, barszcze grzybowe i buraczane, kartoflanki i gęste zupy z suszu owocowego, gęste potrawy z marchwi i fasoli lub pasternaku. Co prawda smakowały zdecydowanie lepiej, kiedy były ugotowane na świńskim uchu, ogonie lub skórce od słoniny, ale i w wersji postnej, okraszone olejem przysmażonym z cebulą miały swoich amatorów. Bardzo ważną rolę w jadłospisie wiejskim pełnił groch, który jadano na sypko, w formie gęstych brei lub zawieszistych zup. W postnej kuchni nie mogło zabraknąć kartofli. Poza wymienionymi już zupami, gotowano z nich kluski i pieczono placki. Z surowych kartofli tartych gospodynie gotowały *przecieraki*, które stanowiły dodatek do wszelkich zup i polewek lub samodzielne danie. W dni postne kraszono je olejem, podawano z mlekiem, z twarogiem, gotowaną kapustą lub samym tylko kwasem z kapusty, kiszonymi grzybami, a nawet z domowego wyrobu marmoladą. Jeżeli zostawało klusek z obiadu, to gospodyni przysmażała je na patelni, dodając czasami jajka. Rarytasem były racuchy pieczone na oleju. Kiedy jednak oleju zabrakło lub trzeba było go oszczędzać, to pieczono *fajerzaki* (*chłapacze*). Tak nazywano placki z tartych kartofli, pieczone bezpośrednio na płycie kuchennej. Gorące fajerki przecierało się mokrą szmatą, posypywano solą i na nich rozprowadzano łyżką gęstą kartoflaną masę.



Przystawka ze śledziem – Qbatura, Ciechanów



Śledź marynowany w occie  
– Zakątek Smaku, Huta

W uboższych domach często brakowało chleba. Ratunkiem stawały się wówczas *powalki*, czyli grube placki pieczone na fajerkach. Pieczono je z ciasta zagniatanego podobnie jak na zacierki lub z żytniej mąki i ugniecionych gotowanych kartofli. Nieodzownym składnikiem tych placków była soda.

Dziociom i starszym domownikom, którym sprzykrzyło się postne, nudne jedzenie, więc domagali się czegoś lepszego, matka lub babka krzątająca się przy kuchni mawiała na odczepnego: *Jak bedziesz jad mięso w dzień postny, to ci zemby z gemby wylecu* (Szulmierz, Trzcianka, Targonie, Kownaty). Pobożni parafianie zawsze starali się sumiennie wykonywać zalecenia kościelne w zakresie postów, ale z utęsknieniem czekali na posiłki świąteczne.

Tomasz Czerwiński

Fot. autora



